Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1891. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

ŁOWIEC POLSKI W INDYACH.

(Ciąg dalszy).

W Gwaliorze, w gościnnej willi majora Barr, przebył hr. Józef Potocki trzy dni, a w ciągu tego czasu przyjmowanym był na audyencyi przez 13-letniego gwaliorskiego Maharadżę „ładnego chłopca z czarnemi jak węgiel oczyma“ wśród przepychu prawdziwie wschodniego, o jakim u nas tylko w bajkach jest mowa.

„Przed frontem pałacu — pisze nasz podróżnik — z jednej strony stał szereg sześciudziesięciu słoni, w czerwonych złotolitych kapach, ze złocistymi pierścieniami i gałkami na kłach, z drugiej złociste palankiny, wołami o złoconych rogach i wielbłądami zaprzągnięte, w środku oddział przybocznej gwardyi Maharadży, w dziwacznych mundurach, który przyjął nas biciem w bębny i muzyką piszczałek, prezentując broń przed angielskim rezydentem. Sokolnicy z sokołami na ręku, tłum różnobarwny służby dopełniał tego malowniczego obrazu, na widok którego, myśl o kilka wieków wstecz się cofała.“

D. 2. marca urządzono w okolicy Gwalioru polowanie na antylopy, które autor tak opisuje:

„Ciemna noc jeszcze była, gdy zajechali po mnie dwaj oficerowie, z którymi w wilią się zaznajomiłem, mający zabrać mnie na antylopy. Z niemałą ciekawością jechałem na to pierwsze w Indyach polowanie. Po godzinie jazdy słońce weszło, odkrywając niezwykły krajobraz. Jak daleko okiem sięgnąć, z obu stron drogi równina, żółtą, spaloną, wysoką trawą pokryta, gdzieniegdzie naga jak step chersoński, czasem karłowatem krzewiem porosła. Ulubione to miejsca wypasu indyjskiej antylopy (Antilope cervicapra, po angielsku black-buck). Zwyczajna to zwierzyna w Indyach, zamieszkująca przeważnie rozległe równiny w środkowej części półwyspu.

Niebawem ujrzeliśmy kilka sztuk, pasących, się o kilkaset kroków od drogi. Rozdzieliliśmy się na dwie partye: obaj oficerowie poszli w jedną stronę, ja zaś z przydanym mi „schikarim“, („schikari“ po hinduańsku oznacza myśliwy, to co u nas „chłop myśliwy“), który konno mi towarzyszył, drugą stronę zająłem. Poluje się w ten sposób, że schikary konno antylopy okrąża i stara się je podjechać, zakrywając myśliwego, który, trzymając się puśliska, za koniem postępuje; ostrożny bowiem zwierz, mniej na konia, niż na człowieka piechotą idącego, zwraca uwagę. Ledwo uszliśmy kilkaset kroków, step przed nami jakby ożył. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, stada antylop po kilka i kilkanaście sztuk; niektóre spoczywają jeszcze w wysokiej trawie, z której wystają jak świdry, rogi kozłów.

Kozły ślicznie ubarwione, czarne z białemi brzuchami, łanie rudawe, do danielic podobne. Im kozioł starszy, tem sierść ma czarniejszą. Kozły pasą się zwykle pojedyńczo

lub po kilka razem, otoczone w oddali stadem łań, czujnych małżonek, które zbliżające się niebezpieczeństwo wypatrują i pierwsze dają hasło do odwrotu.

Śliczny to widok, gdy stado antylop poczyna uciekać: najprzód jedna, potem druga, trzecia, wreszcie wszystkie, skaczą pionowo w górę ogromnemi susami, nieprawdopodobnie wysoko, jakby potężną sprężyną podrzucane, potem przechodzą w wolny galop, wreszcie w szalony pęd i znikają z oczu. Mimo mnogiej liczby sztuk, które się widzi, podejść je na możliwą do strzału odległość niełatwo, szczególnie w miejscowościach, gdzie często na nie polują.

Do pierwszych trzech kozłów — do łań bowiem się nie strzela — chybiłem na czysto: na niezmiernej równinie, w gorejącym blasku palącego słońca, każdy przedmiot tak ostro i wyraźnie się na widnokręgu rysuje, że dystans 150—200 kroków wygląda na 80; strzelałem daleko, i miałem nowy ekspres pierwszy raz w ręku, do tego chodzenie w wysokich, około nóg okręcających się trawach, pomiędzy dziurami w ziemi od gorąca pękającej, ogromnie jest męczące. Szłapak mego „schikara“, przyzwyczajony do podobnych spacerów, szybko się posuwał, musiałem trzymając się puśliska, kłusem biedz, by mu kroku dotrzymać. Było już blisko południa, słońce paliło niemiłosiernie; niezbyt rad z tego początku, zziajany i spocony myślałem o powrocie, gdy ujrzeliśmy na odkrytem zupełnie miejscu pojedyńczo pasącego się kozła. Ślicznie wyglądał, czarny, aż lśniący prawie, wysokie rogi szkliły się w promieniach słońca, jakby z metalu. Zaczęliśmy go okrążać, z początku szerokie zataczając koła, potem coraz je zwężając, mniejwięcej w ten sposób, jak się lisa sankami podjeżdża. Musiały mu się nasze ewolucye dziwnemi wydawać, nie spuszczał nas bowiem z oka, a chociaż nie uciekał, zwolna lecz ciągle się przed nami posuwał. Musieliśmy zamiast zwężać, szybko coraz szersze koła zataczać, by mu drogę zastąpić. Nie wiem jaką przestrzeń w ten sposób, do konia przytulony, przebiegłem; pot lał się ze mnie strumieniami, czułem, że już daleko nie ujdę. Wreszcie przecięliśmy mu drogę; kozioł zwolna, z podniesioną głową, ku nam się posuwał. Raptem, o jakie 120 kroków, czy mnie za koniem zoczył, czy odblask lufy go przestraszył, zwrócił się nagle i począł zmykać, tym razem na dobre. Na los szczęścia prawie strzeliłem... Rulował w ogniu, dostawszy kulę w łeb, poza słucha — strzał więcej szczęśliwy niż zręczny. Piękna była sztuka; z radością pospieszyłem by oglądnąć zdobycz, którą przywołani coolis (tragarze, najniższa kasta Hindusów) wzięli na barki do naznaczonego miejsca, gdzie mieliśmy około południa się spotkać. Tu zastałem już mych towarzyszów, którzy też jednego kozła przynieśli. W „bungalowie“, czyli domku zajezdnym, czekało nas mile widziane śniadanie, poczem parugodzinna siesta i około 4-tej ruszyliśmy znowu, każdy w swoję stronę, lecz w inne miejsca niż rano i nie piechtą, lecz w dwukołowych, chrustem zakrytych i wołami zaprzągniętych wozach. Łatwiejszy to sposób polowania, w każdym razie mniej męczący, a przytem i zwierzę łatwiej można podjechać niż podejść. Po południu jeszcze więcej sztuk widziałem niż rano; w jednem stadzie może sztuk — samych kozłów, kupką woddali się pasących — ze dwanaście. Udało mi się jeszcze dwa rozciągnąć, z których jeden z niezwykle dużymi rogami. Śliczna to myśliwska trofea — rogi czasem 24 cali długości dochodzą.

Gdy podjeżdżałem jednego, dwa wilki mignęło mi się w zaroślach, lecz tak szybko znikły w wysokiej trawie, że strzelić nie zdołałem. Oficerowie też dwa kozły ubili, tak, że sześć sztuk mieliśmy na rozkładzie. Wracając, zabiłem z wózka lisa indyjskiego *(Vulpes bengalensis)*, o połowę mniejszy niż nasz lis, szary jak zając.

Taki był rezultat pierwszego dnia mego polowania w Indyach“.

Z Gwalioru wybrał się hr. Potocki z swymi towarzyszami do pułkownika Gerarda, zamieszkałego w odległej o 140 mil angielskich Goonie. W ciągu tej drogi, w Mahoonie, przesiedli się na trzęsące haniebnie bryki wielbłądzie, a dowlókłszy się w ten sposób do Sipri, na pół drogi od Goony, przesiedli się na znacznie lepszą i szybszą wojskową pocztę wielbłądzią.

D. 4. marca popołudniu, po 36-godzinnej jeździe, stanęli nasi podróżni przed willą pułkownika Gerarda, którego nasz autor tak maluje:

„Na pierwszy rzut oka poznać można w Gerardzie wiernego adepta św. Huberta. Zahartowany na niewygody w twardem życiu wojskowych marszów i obozów myśliwskich, od 25 lat mieszka w Indyach, zna całe łowiectwo na palcach i uważa polowanie jako jedyną rozrywkę, poświęcając mu każdą wolną od wojskowych zajęć chwilę. Polował wiele na całej kuli ziemskiej i na setki liczy grubą zwierzynę i tygrysy własną ręką ubite. Obecnie jako komendant jednego z najpiękniejszych pułków angielskiej armii (Central India Horse) od kilkunastu lat mieszka w Goonie i jest prawdziwą opatrznością dla cudzoziemców w myśliwych celach do Indyj przybywających, których chętnie podejmuje i polowanie im ułatwia, skoro mu są przez znajomych poleceni“.

W willi pułkownika Gerarda tedy roztasował się wygodnie nasz podróżnik, towarzyszący mu zaś doktor S. i przyboczny strzelec Stefan zamieszkali pod namiotami w ogrodzie.

Pierwsza stąd wyprawa myśliwska odbyła się d. 5. marca.

„Po śniadaniu — opowiada autor — ruszyliśmy na polowanie „tongą“, czyli wózkiem na dwóch kołach, bez dyszla, niepraktycznym i niewygodnym zaprzęgiem. Jedyny sposób dobrej i szybkiej jazdy w tym kraju — to konno, wogóle jedynie możliwy, gdy się z bitej drogi w dżungle zbacza.

Co jest „dżungla“ indyjska, niełatwo określić ani opisać. Sam wyraz, wzięty z hindustańskiego, został w angielskim języku ogólnie przyjęty i ciągle go się używa. Otóż każdy nieuprawny obszar ziemi większych rozmiarów, mniej lub więcej lasem, krzewami lub trawą tylko pokryty, byle do uprawy nieprzydatny i do niej nieużyty, nazywa się „dżungla“. Jak konfiguracya ziemi i rodzaj wegetacyi w każdej niemal części Indyj są różne, tak i dżungle są jedne do drugich niepodobne. Dżungle Assamu od środkowo-indyjskich różnią się tak, jak n. p. moczary Pińszczyzny od karpackich borów, jedno i drugie nazywa cię dżunglą, jak n. p. w naszym języku mówi się knieja o każdem schronisku dzikiego zwierza, bez względu na rodzaj, lub gatunek miejscowości. Dżungle centralno-indyjskie, które mam przed oczyma i które w znacznej części pokrywają tak zwane centralno-indyjskie płaskowzgórze, (około 1000′ nad powierzchnią morza), to ogromne, milami wzdłuż i wszerz ciągnące się obszary kamienistego gruntu, gdzieniegdzie równe jak step, częściej wznoszące się w pasmo niewysokich pagórków, poprzeżynane we wszystkich kierunkach strumieniami o kamienistem łożysku i urwistych brzegach, zwykle prawie zupełnie wyschłymi, i tylko w porze deszczów wzbierającymi do wielkości rwących potoków.

Nad ich brzegami piętrzą się nagie skały, gdzieniegdzie olbrzymie głazy kamienne tworzą ciemne jaskinie i głębokie wertepy, tu i owdzie wznosi się wyższy pagórek, jak kopiec z kamienia, wulkanicznej formacyi. Cały ten obszar nie-

zmierny, zarosły gęsto krzakami kolczystych krzewów, karłowatemi drzewami, powojem rozmaitych roślin pasożytnych, wijących się w około drzew egzotycznych, nisko nad ziemią rosnących, podszyty gęstą, do wzrostu człowieka wysoką, o tej porze roku spaloną trawą. Gdzieniegdzie po dolinach gąszcz się przerzedza, teren równy, nagi jak step, pokryty tylko niewielkimi kamykami — istna kamienna pustynia. Dziko i chaotycznie to wygląda, jakby ten szmat ziemi wyszedł z chaosu stworzenia niesformowany i niewykończony ręką Stwórcy. Ni to las, ni step, ni pustynia, wszystkiego po trochu, w nieładzie obok siebie porzucane. Chcieć opisać dżungle, należałoby jeszcze opisać całą botanikę nazw, setek gatunków roślin, krzewów, drzew, powoi, całą roślinność podzwrotnikowej strefy, obszary te pokrywającą — przechodzi to jednak moje znajomości botaniczne.

Jedynemi drogami w dżungli są ścieżki i przesmyki przez dzikiego zwierza w trawie wydeptane. Gdzieniegdzie wyrastające wysokie drzewo, lub wyższy szczyt pagórka, stanowi jedyny sposób oryentowania się w tym przestworze gąszczów, kamieni i głazów. Ważną rolę w dżungli dla myśliwego odgrywają potoki i łożyska strumyków, tu się bowiem zwierz dziki nocą do wodopojów ściąga i niedaleko od nich zwykle w dzień zalega, to też poluje się zwykle w okolicy strumyków, czasem nad samymi ich brzegami.

Lecz wróćmy do polowania. Po kilku milach jazdy porzuciliśmy „tongę“ i konno przez dżungle dostali do naznaczonego miejsca zebrania, gdzie oczekiwała nas, pod komendą żołnierzy z pułku Gerarda, nagonka złożona z kilkudziesięciu krajowców, zupełnie nagich, z fartuszkiem tylko na biodrach. Pułkownik tak doskonale swych żołnierzy wytresować i do polowania włożyć potrafił, że używa ich nietylko do zbierania ludzi i prowadzenia nagonki, lecz ma pomiędzy nimi kilku znakomitych myśliwych, którzy, obznajomiwszy się z miejscowością, znają legowiska zwierza, śledzą za nim i całe polowanie układają. Pierwszy pomiędzy nimi, prawa ręka Gerarda, gdy chodzi o urządzenie polowania, jest sierżant Mahmud Khan, muzułmanin z nad granicy Afganistanu. Poluje się z nagonką w zwyczajny sposób, biorąc tę lub ową knieję, w której się zwierza spodziewa. Myśliwi rozstawiają się o ile możności na wysokich stanowiskach, na skale lub częściej na drzewach, by z wyższego stanowiska jak najwięcej terenu okiem objąć. Robi się to po części dla bezpieczeństwa przed tygrysem lub panterą, szczególnie zaś dlatego, że stojąc na ziemi w gąszczu i trawie, nicby się przed sobą nie widziało.

Pantera, zjadłszy wczoraj wołu, dzisiaj znowu zadusiła dużego cielaka; wszelkie było zatem prawdopodobieństwo zastania jej w pobliskiej kniei. Widzieliśmy szczątki jej nocnego bankietu: tylko głowa i przednie łopatki pozostały z biednej ofiary. Wołu na przynętę wystawia się w miejscowości, gdzie tygrys lub pantera prawdopodobnie się znajdować może; przywiązuje się ofiarę do drzewa, zwykle nad brzegiem strumyka, gdzie zwierz do wodopoju ściąga. Jeżeli tygrys lub pantera znajduje się w pobliżu, niezawodnie przynętę odnajdzie, jednem uderzeniem łapy powaliwszy, zadusi i trzy czwarte jej pożre, zostawiając resztę na dzień następny. Obżarty mięsem zwierz nie uchodzi zwykle daleko od miejsca, gdzie wołu zadusił i zalega w najbliższym gąszczu; od sprytu ludzi i doświadczenia myśliwych zależy oznaczyć knieję, w której zwierz zaległ. Dokładna znajomość miejscowości, zwyczajów zwierza, myśliwski instynkt jednem słowem, grają tu najważniejszą rolę, rozumie się jednak, że absolutnej pewności tego, gdzie się zwierz znajduje, nigdy spodziewać się nie należy. Wprawne oko myśliwego, po wielkości rany w karku ofiary, odrazu rozpozna czy pantera czy tygrys wołu zadusił.

Nie bez emocyi zająłem pierwsze me w Indyach stanowisko przed ciemnym gąszczem, w którym pantera znajdować się miała; tymczasem jak to często bywa, czy się ludzie w wyborze kniei pomylili, czy też zwierz się był pierwej wyniósł, pantery nie zastaliśmy.

W drugim miocie urocze miałem stanowisko na stoku stromego pagórka; ledwo nagonka ruszyła, usłyszałem przed sobą trzask gałęzi i hurkot staczających się z góry kamyków... Chwila emocyi — gdy w tem, dobry nasz znajomy, dzik, wytknął na mnie na kilkanaście kroków. Ładna sztuka, u nas nazywałby się wycinkiem, tu zwą takiego odyńcem.

W ogóle dzik indyjski mniejszy od naszego, jaśniejszy w sierci, łeb ma dłuższy i spiczasty. Pospolita to w Indyach zwierzyna, nikt na nią uwagi nie zwraca, i tylko konno z dzidą (t. zw. po angielsku „pig-sticking“) na dziki polują. Prawdziwie rycerska to zabawa, do której dobra jazda i wprawne oko, niemniej od osobistej odwagi, zręczności i siły potrzebne. W Goonie teren do tego sportu nie odpowiedni, zbyt skalisty i górzysty, a chociaż próbowaliśmy później parę razy konno na dziki zapolować, nie udało nam się jednak ani jednego zakłóć.

Pod koniec miotu znowu usłyszałem przed sobą w trzcinowym gąszczu łamanie i trzask gałęzi, jak gdyby najgrubszy zwierz przez krzaki się przedzierał. Stałem chwilę złożony, co najmniej tygrysa się spodziewając, gdy trzy pawie, ślicznie ubarwione koguty, zerwały się o kilka kroków przedemną z okrutnym hałasem. Żaden zwierz tyle hałasu w miocie nie robi, co paw: stąpa ciężko jakby jeleń szedł, i wogóle nieznośne to dla nerwów myśliwego stworzenie, tem więcej, że ich nawet strzelać nie wolno i nie wypada, Hindusi bowiem pawia za świętego ptaka uważają. Mnóstwo tu tych pięknych ptaków w dzikim stanie; szczególnie ślicznym jest widok koguta, gdy pod słońce lecąc, w całym blasku cudnych piór zajaśnieje. Gatunek ten sam, co naszych pawi domowych *(Pavo cristatus)*“. (C. d. n.)

Polskie krosty.

(Wspomnienie z młodych lat).

Biegnij, biegnij pamięci moja tam w dal, tam wstecz, w lata moje młode, w lata moje chłopięce, w te lata szczęśliwe, o których my, starzy już, prawie zawsze marzymy i zawsze myślimy — nie wrócą, nie wrócą niestety...

Trzech nas było u ojca, trzech młodych, zdrowych i silnych. Czegóż więcej potrzeba, aby wpadać z zabawy w zabawę, z żartu w żart, z pustoty w pustotę. Ojciec nasz posiadał niezły mająteczek ziemski z lasami, łąkami

i rudami w nich. Roiło się od zwierzyny, choć cała familia nasza była myśliwymi zawołanymi. Szczególniej ptactwa na błotach była moc niezliczona.

Opowiadaniem mojem sięgam czasów, kiedy to Austrya już na dobre nakrywszy nas swymi opiekuńczymi skrzydłami, a uznawszy nas za napół dzikich, nasłała nam całą falangę Czechów i nie-Czechów, ludzi przeważnie tej konduity, że żaden uczciwy Czech obecnie by się do nich nie przyznał. Nasłano nam tych jegomościów na urzędy w celu ucywilizowania naszego ordynarnego „Bärenlandu“.

Miasteczko nam najbliższe zrobiono „becyrkiem“ i dostaliśmy łaskawie pana „becyrksforstehera“, w osobie Czecha Hawliczki, człowieka nie tak wysokiego, jak grubego, a nie tak grubego, jak ograniczonego. Swoją drogą niezłe było to Czeszysko, i jeżeli komu nie mógł zaszkodzić, to pewnie mu nie pomógł, chyba, że... no, co kto temu winien, że lubi grać i wygrywać w karty.

Pewnego razu ojciec mój, będąc za interesami w miasteczku, spotyka się oko w oko z Hawliczką, a znali się już poprzednio z urzędowego tylko zetknięcia.

— Dobry deń — powiada Hawliczek, zaczepiając ojca.

— A... a... Dzień dobry — odpowiada tenże.

— Ja mam do pan dobrdzieju proszbu.

— Proszę, proszę — powiada mój ojciec, cierpnąc na myśl, czy nie zaproszenie na karteczki.

— Ja sem sliszal, co w pan dobrdzieju mnoho dykich kaczek i innych ptachów, ja sem duży myśliwec, to bych zapolowat prosil, jeżeli by to pan nebylo za przeszkodu.

— A z miłą chęcią, proszę, proszę, niech tylko pan naczelnik powie kiedy, to konie przyszlę po pana. Ja już za stary na błota, ale dwaj synowie moi starsi będą panu towarzyszyć i nastrzelasz się pan dowoli.

— Diekuju, diekuju... Ta ja w nedilu budu hotowy czekat.

Ojciec mój nienawidził biurokracyi, nawet naszej, a cóż dopiero obcych i w dodatku, naówczas tak nienawidzonych Czechów. Całą falangę urzędników, bez względu, jakiejkolwieby byli narodowości, nazywał „Niemcami“. Nie na rękę mu było to wproszenie się Hawliczka, ale cóż miał robić? Naczelnik powiatu w tamtych czasach mógł tak wiele, że trzeba było być z nim dobrze, aby uniknąć sekowań.

W umówioną niedzielę wybraliśmy się tedy z Czechem — podchmielonym licznymi kieliszkami, które ojciec mój wlał w niego, choć się bronił i opierał — na łąki, poprzerzynane mokrymi nizinami i strużkami. A że mieliśmy podówczas w domu jednego tylko wyżła, który więcej brata słuchał niż mnie, więc wiedząc, że koło brata, który strzelał znakomicie, choć strasznie gorąco, do strzału nie przyjdę, trzymałem się Czecha, który miał ze sobą niezłego wyżła. Przypuszczałem, że Hawliczka, trochę „zaprószony“, będzie chybiał i pozwoli po sobie poprawiać. Przewidywania moje sprawdziły się.

Słońce przypiekało strasznie, bo był to sierpień, ale ponieważ gęsto się strzelało, a kszyki doskonale wytrzymywały, więc i na upał nie wiele zważaliśmy. Mnie przy moim Czechu dobrze się działo, a i on był kontent, bo gdy strzelił i spudłował, to ja poprawiałem i szło na wspólny rachunek.

Weszliśmy nareszcie na suche łąki. Hawliczek nabijał strzelbę świeżo wystrzeloną, ja zaś spojrzałem w stronę brata i widzę, że nasz pies stanął. Brat trącił go nogą, pies skoczył i spłoszył stadko kuropatw, które się poderwało wprost na nas. Znając braciszka, padłem w tym momencie jak długi na ziemię a równocześnie słyszę strzał i świst śrótów nad sobą. Podnoszę głowę, oglądam się na Czecha i widzę, że najspokojniej kończy nabijać strzelbę, o niczem nie wiedząc. Nawet mojego upadku nie zauważył, będąc trochę bokiem odemnie odwróconym.

Czy brat zabił kuropatwę czy nie — o tem ani ja ani on nie wiedzieliśmy. Ja nie miałem czasu ani ochoty patrzeć na skutek strzału, a brat, widząc mnie padającego na ziemię, tak się przeraził, że zapomniał nawet o kuropatwach. Poszliśmy dalej.

Nastrzelawszy się do syta, zmęczony i zziajany, wrócił Czech z nami do domu. Był zadowolony z polowania i przy dobrym apytycie zasiadł do stołu. W czasie obiadu zauważyłem, że dość często czegoś szuka palcami pod kamizelką w okolicy brzucha, nareszcie raz, wyjmując palec stamtąd, spojrzał na niego i zobaczył zakrwawiony; powtórzył operacyę tę kilka razy, potem szepnął coś do ucha mojemu ojcu i wyszli do gabinetu.

— Pane Dobrdzieju, nemohu znat, co to jest, co mnie tu z całego brzucha krew idzie — powiada Hawliczek i pokazuje goły brzuch, upstrzony jak rodzenkami kilkunastoma czerwonemi punktami, z których krew się sączyła.

Ojciec mój, tylko spojrzał, poznał postrzelenie, którego Hawliczek, z powodu ogromnej tłustości na razie nie czuł, ale bojąc się go informować, powiada:

— Ej, to nic, to tak często u nas bywa, jak kto nieprzyzwyczajony w taki upał po błotach chodzić... Robią mu się czasami takie krosteczki krwawiące na brzuchu, ale to do tygodnia samo zginie.

— Chłopcy, który z was Niemcowi w brzuch śróty wpakował? — zapytał ojciec, wchodząc do naszego pokoiku na górce — podczas gdy się Niemiec ubierał.

— To ja, proszę ojca, strzeliłem do kuropatw i gdzieś tam śrót się się odbił do niego.

— Nie śrót ale śróty, bo więcej niż dwadzieścia ma ich w brzuchu. Żeby mi o tem ani słowa do nikogo, a ty — ciągnął dalej, zwracając się do brata — żebyś mi od tej chwili nie ważył się więcej strzelby do ręki wziąć, chyba na wyraźne moje pozwolenie.

W tydzień potem był ojciec w miasteczku, a będąc niespokojnym, sam zaszedł do Hawliczka, który mu się skarżył, że jakoś te „polskie krosty“, jak je nazywał, zejść mu niechcą i że mu od nich cały brzuch zapuchł i boli.

Dopiero w parę miesięcy dowiedział się od ojca mego przy kieliszku węgierskiego, czemu i komu winien był kilkotygodniową wysypkę.

— A jak by mnie pana Ludwika byla zabila? — pyta ojca.
— Ha — odpowiada ojciec, toby nam zapewne innego naczelnika na miejsce pańskie przysłali.

Krzeczkowa d. 20. stycznia 1891.

Wł. Zaleski.

Sylwetki łowieckie.

I. Nimrod z Jerozolimy.

Drylinga w ręku ma — a lorda
Lub granda dumną minę przytem,
U boku nie brak mu i korda,
Lisiura kryta aksamitem...

Dla niego nudna knieja taka,
Gdzie się nie można spotkać z dzikiem,
A nie złożyłby się do ptaka,
Jeżeli ptak ten nie jest kszykiem.

Gdy jednak dał raz polowanie,
I gdy odyniec szedł na niego,
Ucierał nos niezmordowanie
Chustką koloru czerwonego.

Kiedy zaś żartem go spytano,
Dlaczego dzika spłoszył zdradnie,
Rzekł: „Ja gospodarz jestem... ano
Mnie strzelać byłoby... nie ładnie“.

II. Zapaleniec.

Trzydzieści lat oglądał świat,
Gdy pierwszy raz pociągnął w las
Z drugimi wraz... na słonki;
Chodził tu, tam, nie wiedział sam,
Gdzie las, gdzie zrąb, co sosna, dąb,
Stał tyłem do... nagonki!
Tu słyszał strzał, tam słyszał strzał,
Na słonki dwie, gdy złożył się,
Znać było po nim gracza;
Dzień cały fryc nie strzelał nic,
Brany na bas, dał ognia raz
I... zranił... naganiacza.

III. Pasibrzuch.

Twarz u niego, jak księżyc, gdy w pełni zachodzi,
Tuszy by mu zazdrościć mógł gwardyan dobrodziej,
Olbrzymi zarękawek nosi i berlacze,
Na boku mu się tęga manierka kołacze,
Wątpliwość, że myśliwym jest, całkiem wyklucza
Na brzuchu kołysząca się torba borsucza.
Ta torba, choć jest pełna, nie myśliwskiej treści,
Za to cały w niej dobór przekąsek się mieści,
I o ile jej ciężar nie ułatwia chodu,
O tyle kilku może ochronić od głodu.
Idąc na stanowisko już po torbie szpera,
Stanął na stanowisku, dobył kawał sera,
Siadł na stołku myśliwskim, strzelbę wsparł o pniaka
I na powietrzu szybko rozbiera kurczaka.
Nagonka już ruszyła, słychać jej wołania,
On je smacznie i strzelbę pochwycić się wzbrania;
Wtem rudel sarn do niego na sztych wolno zmierza,
Biedaczysko się zrywa, gdy obaczył zwierza,
W śnieg upuszcza pasztety, szynkę i kurczaka,
Odwodzi spiesznie kurki i... ot... dola taka,
Gdy ostatnia z sarn szybko w miot przeciwny skacze,
Wystrzela nasz pasibrzuch... puszcza dwa rogacze.

IV. Powaga.

Doświadczenie — nie bije mu z czoła,
Ale na świat ustami wypada;
W całym kraju po lasach dokoła
Jam polował, tak wszystkim powiada.

Każdym strzałem trafiałem śmiertelnie
Wszelkie żywe stworzenie wszechświata,
I twór każdy me strzelby zna dzielne,
Co gdzie pełza, lub pływa, lub lata.

Tak w znajomych on gronie rej wodzi,
Rzeczy obcych w myśliwstwie on nie ma,
Wie, że jeleń po górach gdzieś chodzi,
Słowem — dużo wie więcej od Brehma.

Gdy myśliwski spór zdarzył się kiedy,
On rozstrzygnął go świetnie o! nieba!
Choć nie słuchał ni świadków czeredy,
Ni stron żadnych... bo tego nie trzeba...

V. Spioch.

Siadł na furę i zasnął wnet smacznie,
Choć go wiozą koledzy do kniei,
Choć dzień cudny niedługo się zacznie,
Pełen pięknych myśliwskich nadziei.

Siadł na krześle myśliwskiem i... chrapie,
A nagonka tak huka ochoczo,
Spi, choć zając na niego wprost człapie,
Spi, choć sarny na niego wprost kroczą...

Spi, wracając wieczorem do domu,
A gdy sanki wywrócą się w biegu —
On się biedak nie skarzy nikomu —
...Wypadł z sani i... spi sobie w śniegu.

VI. Ambitny.

Chybił lisa, wnet straszny ambaras
W jego ruchach. Do miotu wprost wali
I turzycy garść niesie sam zaraz,
By się z pudła koledzy nie śmiali.

A gdy zwróci uwagę mu który:
„Człeku, wielka to szkoda prawdziwie,
„Że tak skubiesz lisiurę do skóry“ —
On wyraża się o nim — zgryźliwie.

I bywało — raz chybił szaraka,
W śmiech więc wszyscy — to wcale nie miło;
On rzekł: trafić nie sztuka jest taka,
Gdyby w lesie drzew wcale nie było.

Leon Gustaw Dziubiński.

PARĘ SŁÓW O KNIEI

przez

Marcelego Tyszkiewicza.

Jest wielka różnica między dobrym myśliwym, a dobrym strzelcem. Strzelców dobrych wiele spotykałem w życiu moim — myśliwych mało.

Pan Kazimierz Wodzicki był znakomitym myśliwym, a strzelał bardzo miernie, oprócz do słonek, do których wielkiej wprawy nabrał, mając prześliczne ciągi w Olejowie. Widziałem wszakże p. Kazimierza prowadzącego polowania w Lisowicach doskonale, a to rzecz trudniejsza, niż w swoich Olejowskich kniejach. Polowanie prowadził szybko, cicho, bez żadnych narad w lesie, tylko miot po miocie szedł tak sprawnie, że aż miło było myśliwemu z nim polować. Chociaż i tam byli pokątni krytycy — mówię pokątni, bo pan Kazimierz byłby zgromił każdego śmiałka, który by się odważył coś poradzić w lesie. Regulamin zresztą nie pozwala w atrybucye łowczego się mięszać.

To też „Pan Kazimierz“ hetmanił w lesie doskonale, a szeregi strzelców i nagonki były mu posłuszne. Najlepszą nagonką, jaką widziałem, była Olejowska, potem Lisowicka, dawniej pod dyrekcyą Andrunia, a teraz Michajka. Nagonka Lisowicka chodzi cicho, tylko po gąszczach chłopaki półgłosem po imieniu się nawołują, żeby nie rozerwać się, co znów idący po środku Michajko od czasu do czasu trąbką reguluje. Wtedy i skrzydłowi muszą się otrąbić i tak po tych świerkowych gęstych a ogromnych miotach 50 nagonki cuda wyrabia! Jeżeli dziki, niedźwiedź, lub sarny chcą uderzyć na nagonkę, chłopcy w miejscu się zatrzymują, wyrównywują się i co najwięcej słyszysz: prr... Przed linią także na jakie sto kroków stają, a potem cicho na linię wychodzą. A uważałem, że te zatrzymywania się nagonki i ta cisza najwięcej zwierza na strzelców wypiera, podczas gdy na krzyk w nagonce zwykle zwierz uderza i przebija się. W ogólności jestem przeciwny głośnemu gonieniu, nawet kołatawkami, gdyż wiele razy widziałem, że na krzyk sarna idzie na nagonkę, a także widziałem i dziki, które na wysokim lesie leżały, a gdy zaczęto hałasować, maciora podniosła się, ruszyła na krzyk i przebiła się przez nagonkę, pomimo, że był chłop przy chłopie.

Także jest dobre zaprowadzenie przez p. Kazimierza w Lisowicach, że każdy towarzysz po kolei musi rano przed polowaniem wyjść i sprawdzić, skąd wiatr wieje i podług tego biorą się mioty, bo na grubego zwierza brać miot z dobrym wiatrem to rzecz ważna.

Dobry myśliwy, prowadzący polowanie, musi znać doskonale knieję i z góry plan obmyśleć, żeby polowanie szło prędko, bo nie ma nic nieprzyjemniejszego, jak te narady po miocie, często nawet tak głośne, że zwierza z następnego miotu wypłaszają. Najgorsza zaś strata czasu, czasu tak drogiego, a tak krótkiego w porze zimowej. Nie opatrzysz się, jak już noc zapada, a tu jeszcze doskonały miot zostaje niewzięty, albo wzięty już zmrokiem, co jeszcze gorzej!

No, na czarnej stopie, to pójdzie jeszcze dobrze i miernemu łowczemu, ale po śniegu to dopiero mistrza odrazu poznasz. Tam z góry nic się nie obmyśla, zwłaszcza na grubego zwierza. Przyjeżdżasz do lasu i tu dopiero tropiciel zdaje ci sprawę, gdzie są dziki. Wtedy prędki a dobry rozkaz wszystko znaczy.

O tak, moi Panowie, dobry łowczy na polowaniu w s z y s t k o z n a c z y.

Lisowice mają teraz doskonałego łowczego w hr. Stanisławie Stadnickim. Pod niebytność łowczego, prezes także dobrze prowadzi.

Niejeden powie, że to nie sztuka, bo od kilkudziesięciu lat tak samo mioty się biorą. O nie! to sztuka. Bo często jakaś dobra myśl strzeli, bierze się ten sam miot co wczoraj był brany i pada: dzik, żbik, rogacz, lis, zając, jarząbek i słonka! Taki fakt zaszedł w r. 1888, gdy od przerębu Stadnickiego na drogę Artura w Lisowicach prowadził polowanie prezes Bzowski.

Widziałem starych myśliwych, którzy, jak to mówią, zęby zjedli na polowaniu, doskonali strzelcy, krytycy pokątni jakich mało! Widziałem ich prowadzących polowanie. Myślałem, ot, teraz to pójdzie... Ale gdzie tam! Poszkapił się zaraz, gorączkował, zaczął biegać to naprzód, to w tył, a marudził bez potrzeby po każdym miocie, pytał każdego o zdanie, a potem się gniewał gdy mu je dawano, bo przypomniał sobie, że trzeba być samoistnym, dość, że w końcu narobił zamięszania, że i złość zbierała i śmiech. Na drugi dzień już go zmieniano i już go nigdy nikt nie poprosi, aby prowadził polowanie.

Dobry łowczy, to tak jak dobry jenerał, rzadki, ale jak się uda, to z nim żyć i umierać myśliwemu.

Proszę wierzyć, że tu szkoła mało znaczy, bo żeby być dobrym łowczym, trzeba być genialnym, samoistnym i mieć tę rzutkość, która leży w temperamencie człowieka. Taki z pewnością będzie dobrym gospodarzem, dobrym politykiem, ot... jednem słowem do wszystkiego. I takim był też ś. p. pan Kazimierz Wodzicki.

W Lisowicach przed każdem polowaniem sekretarz wnosi podczas pierwszego śniadania kapelusz z numerami. Wyciągnięty numer stanowiska zostaje na cały dzień, tylko, że numera, a raczej stanowiska, zmieniają się po każdym miocie. I tak: pierwszy miot zaczyna nr. 1, drugi miot zaczyna nr. 3, trzeci miot nr. 5, następnie 7 i t. d. Jeżeli nieparzyste numera kończą się na 11, to dziesiąty miot zaczyna nr. 2. t. j. liczba parzysta. Następnie idą 4, 6, 8, 10 i jeżeli jest numerów 12, to po 10, 12 nr. A zatem przypuśćmy, że zaczyna 3 nr. w drugim miocie, więc 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 1, 2. Rozwodzę się nad tymi szczegółami, bo są tacy, którzy przyzwyczajeni do dawnego porządku, nie łatwo mogliby rzecz zrozumieć.

Powołuję się często na Lisowice, bo tam od kilkudziesięciu lat prowadzone jest świetnie polowanie przez najlepszych myśliwych w kraju naszym, więc jeszcze nieraz Lisowice będę za przykład stawiał.

Wracam do kniei i stanowisk. Taki porządek z numerami ma ten awantaż, że nikt na los nie narzeka, bo ostatni albo pierwszy numer, za którym dawniej musiałeś biegać na koniec, teraz przychodzi po trzecim, czwartym miocie do środka. Chociaż proszę wierzyć, że flankowe stanowiska nie są złe, zwłaszcza na grubego zwierza, a nawet i szaraczek najwięcej na flankę wychodzi.

Pamiętam raz w Germankówce u hr. Baworowskiego, flankujący w jednym miocie zabił 22 zajęcy, podczas gdy główna linia zaledwo kilka strzałów dała.

Przyjemnie jest mieć dużo zwierzyny na polowaniu, ale mojem zdaniem, wolę mniej zwierzyny przy dobrze prowadzonem polowaniu, niż dużo, gdy polowanie jest źle prowadzone.

W Lisowicach jest mało zwierzyny, i grubo by się zawiódł ten, ktoby tam pojechał z myślą zabicia dużo zwierza. Ale co jest tam miłego, to organizacya, regulamin i Towarzystwo prawdziwych myśliwych. Tam znudzonych twarzy nie zobaczysz nigdy, chociaż często bywa, że i przez pięć dni ani razu nie strzelisz. To jest, mojem zdaniem, pierwszą oznaką dobrego myśliwego. Zato jedna chwila nagrodzi ci wszystkie zawody, bo to się poluje na grubego zwierza. Dzik, niedźwiedź, ryś, żbik tam przebywają, a las jest tak piękny, parowy tak malownicze, że ci się zdaje ciągle, iż coś już na ciebie wychodzi — choćbyś i tydzień do niczego się nie złożył.

Chociaż tu i tam są wybrańcy, na których zwierz zawsze wychodzi. Naprzykład St. Wodzicki, ten nie ma czasu znudzić się oczekiwaniem na zwierza. Drugi po nim teraźniejszy sekretarz. Trzecim bywa zawsze wybraniec jednozimowy, a dawniejszy wybraniec, pan Piegłowski, od dwóch lat już zeszedł z listy wybrańców do zwykłych śmiertelników i tak się godzi dobrze z swoim teraźniejszym losem, że aż miło patrzeć myśliwemu na niego.

Zajęcy w Lisowicach mniej pada niż rogaczy, jarząbków w jesieni dosyć się zabija — zważywszy, że się bierze duże mioty a mało nagonki — i że jarząbek twardo siedzi.

Dziwna rzecz się robi z cietrzewiami, bo pomimo, że się kur nie strzela, co rok ich tam mniej, tak, że za dwa lata widziałem tylko dwa, dawniej zaś było ich dużo. Widocznie ptak ten lubi zmieniać miejsce pobytu.

Niedźwiedzi już od trzech lat nie było podczas polowań jesiennych. Zawsze wyjdą jak ma być polowanie, tak, że raz postanowili towarzysze zjechać się dopiero wtedy, gdy dadzą znać że niedźwiedź jest, w jakiej by to porze nie było. Zobaczymy co z tego będzie?

Tymczasem już mamy wiosnę od kilku dni, a słonki jak nie widać tak nie widać. Dziś, jak to piszę, jest 9. marca i zupełne roztopy, śnieg ginie — wody powylewały, czajki już na błotach krzyczą, kaczki dzikie wieczorami ciągną i tak ciepło, że przy odemkniętem oknie piszę — ale chociaż wiosna, czegoś smutno — bo starość nie radość, i człowiek myśli, czy się doczeka jeszcze tak dobrego myśliwskiego roku.

Nasze kaczki dzikie.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

napisał

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy.)

Zajmując się przez długi przeciąg lat podpatrywaniem życia kaczki dzikiej, starałem się epizody, których świadkiem przypadek mi być nie dozwolił, zaczerpywać z doświadczenia innych. Osobliwie ciekawy proceder dostawania się dopiero co ulęgniętych kacząt na ziemię lub wodę z gniazd drzewnych, pozostawał długi czas dla mnie zagadką, bo w dziełach prawdziwych nawet powag w przyrodnictwie, nie znalazłem zaspakajającej na to odpowiedzi. I tak między innymi Brehm w swem monumentalnem dziele „Życie zwierząt“ powiada, iż „kaczęta wylęgłe na drzewie, wyskakują z gniazda na ziemię i nie uszkadzają się bynajmniej przez ten wyskok“. Rzecz naturalna, iż twierdzenie to powtórzył cały zastęp rozmaitego rodzaju przyrodników *minorum gentium* i cała zgraja fabrykantów dzieł przyrodniczych i kompilatorów. A jednak wypowiedzenie to, niewiadomo w jaki sposób powstałe, nie zgadza się z prawdziwym stanem rzeczy.

W wielkim parku Juśkowieckim (w Złoczowskiem), od strony południowej, gdzie jeden róg tegoż do łąki przypiera, gnieździła się z wiosną r. 1880 kaczka krzyżówka w połowie wysokości sześćdziesięcio-letniej czarnej topoli, używszy na ten cel dawnego gniazda wrony. Przypadkowo spostrzegłem ją zlatującą z gniazda. Od tej chwili odwiedzałem to miejsce po kilkakroć dziennie, a zbliżałem się zawsze jak najostrożniej cienistą zaroślą leszczyn u spodu. Szesnastego dnia od chwili pierwszego jej ujrzenia, wcześnie rano, ujrzałem kaczkę na gniazdo przylatującą, a w niewielkiej oddali z łąki dolatywał mnie pisk kacząt. Czekałem chwilę, zapierając oddech, a kaczka z wygiętą w kabłąk szyją i z dzióbem do piersi przyciśniętym, niosła jakiś przedmiot, spuszczając się na łąkę o jakie 40 kroków od drzewa za płotem. Za niedługą chwilę była znów z powrotem i powtórzyła się ta sama scena, teraz jednak wyraźnie już poznałem, że znosi kaczęta. Po zniesieniu jeszcze pięciorga piskląt, a niewiadomo mi ile ich przedtem zniosła, gdy w gnieździe było zupełnie cicho, a kaczka nie wracała, wyszedłem z mego ukrycia i poszedłem na łąkę w kierunku mniej więcej, gdzie się cała rodzina znajdować mogła, jednak mimo skrupulatnych poszukiwań niczego już więcej dojrzeć nie mogłem, a może na dzień ten i za wiele żądałem. Cała kacza rodzina przepadła gdzieś w trawach „jakby szczupak w Niemnie“, a przyroda odchyliwszy mi jedną głoskę, ukryła resztę przed mym ciekawym wzrokiem.

W roku 1884 wypatrzył wieśniak z Kołodrub, Fedko Łesiuk, gniazdo kaczki krzyżówki w dziuple starego bardzo graba koło drożyny leśnej w Koszowie. Grab ten, na pół już spróchniały, obrosły dokoła rozmaitymi krzakami, utracił już dawno wierzchołek, utworzyło się tam dziupło głębokie. Wieśniak ten, podpatrzywszy kaczkę w pierwszych jej robotach przy zakładaniu gniazda, i jako miejscowy, a do tego z urodzenia już badacz przyrody, pomógł mi nie mało do następnej obserwacyi. Od dnia 20, licząc od złożenia jaj,

o czem wieśniak dowiedział się natychmiast, bywałem codziennie w tem miejscu, a gdy 24 dnia przybyłem wspólnie z p. D. H. do lasu, a było to 7. czerwca, już zdala kiwał ręką Łesiuk, nakazując milczenie i wstrzymanie się. Kaczka właśnie znosiła kaczęta. Wszyscy trzej, zakryci gęstym zapustem dębowym, podsunęliśmy się po miękkich ławicach namułu, pochodzącego jeszcze z wylewu wiosennego, w okolice wspomnianego graba. Byliśmy tak doskonale ukryci, że widocznie ptak nas nie spostrzegł, bo znoszenie trwało dalej. Kaczęta przeraźliwie o 20 kroków od graba na ziemi piszczały, a 7 sztuk zniosła kaczka w naszej obecności. Gdy już wszystkie były na ziemi, usiadła stara przy nich i wnet nastąpiło milczenie, a później wędrówka piesza ku wodzie. Pomimo, iż do najbliższej wody, a było to stare koryto rzeki, w prostej linii ledwie kilkaset było kroków, posuwało się to stadko drogą krętą pomiędzy zarośla, nakładając może trzy razy tyle drogi. Podczas marszu odzywała się matka ciągle jakiemś przytłumionem rechtaniem.

W wypadku tym patrzało sześcioro oczu, nie była to zatem halucynacya, a jeszcze po dziś dzień patrzy tych samych sześcioro oczu zdrowo na świat boży.

Być może, iż w niektórych wypadkach ptak ten, akomodujący się tak łatwo do otaczających go stosunków, dozwala również pisklętom z gniazd drzewnych wyskakiwać, jak powiada Brehm w swem dziele, co może mieć miejsce, gdy pod spodem gęste i bujne trawy się znajdują, lub gdy drzewo to oblewa woda; we wszelkich jednak innych wypadkach, jak to już dziś na podstawie widzianych faktów powiedzieć mogę, znosi matka kaczęta na ziemię.

Wybrane jaja kaczek dzikich wylęga doskonale drób domowy.

Jakkolwiek jest rzeczą pewną, iż domowe nasze kaczki od dzikich krzyżówek pochodzą, próby kilkunastorazowe z kaczkami dzikimi, wysiedzianymi przez kury lub kaczki swojskie, nie doprowadziły w pierwszem pokoleniu do dobrych rezultatów. W pierwszej generacyi nie podobna w zupełnej swobodzie kaczki dzikie wraz z innymi swojskimi wychować; natura wilka ciągnie do lasu, to też i w kaczętach dzikich, pomimo dostatniego żeru, pomimo wszelkich starań, przebija się silna tęsknota za wolnością. Do jakiegoś czasu chodzą one i pływają razem ze swojskimi, wracają do chlewów na noclegi, lecz gdy tylko lustra na lotach im się ukażą, żegnają zwykle na zawsze swych dotychczasowych opiekunów. Czasem powrócą jeszcze do domu, lecz nie na długo. Zanadto powabów na przestronnych wodach, zakrytych sinym lasem trzcin i traw — daleko przyjemniejsze towarzystwo sprytnych i wesołych współplemienniczek dzikich, których wesołe głosy codzień z rana i wieczór rozbrzmiewają na wodach i jakby siłą magiczną ku sobie pociągają...

„Birkut z gniazda, choć dzieckiem
Wzięty sidłem łowieckiem,
Sądzisz, zbratał się z tobą człowiecze?
O, poczekaj! niech z wiosną
Pióra w skrzydłach porosną,
Puść go tylko i patrz gdzie uciecze.“

Wiersz ten z „Kirgiza“ wyjęty można w zupełności i do kaczki dzikiej zastósować, dlatego zapewne długi czas musi człowiek wywierać wpływ swój na zwierzę dzikie, nim zdoła podbić je, zmieniwszy wrodzone jego popędy. Udomowienie zwierząt nie należy przeto do rzeczy łatwych, a na każdy sposób dłuższego czasu i pracy wymaga.

Są u nas jeszcze okolice, w których zawód kaczek domowych prawie nie różni się od dzikich, jakkolwiek podobieństwo to jest pozorne, bo dotyczy głównie upierzenia, a nie kształtów i ruchów. Dzikie są zawsze smuklejsze, gładsze w opierzeniu, zgrabniejsze i ruchliwsze. Najlepiej różnicę tę poznać, obserwując stado, w którem, jak to się często zdarza, i dzikie się znajdują. Na pierwszy rzut oka można tu dzikie rozpoznać, a osobliwie odróżnia się dzika od swojskiej, krocząc po ziemi. Podczas gdy swojskie, kołysającym się ruchem postępując, nie zatrzymują się wcale, dzikie przystają co chwila, oglądają się, a głowę poziomo przed siebie wyciągają.

Jakkolwiek przyswojenie kaczki do zamierzchłej epoki przedhistorycznej odnieść należy, tkwi w naturze jej tyle zamiłowania do swobody, iż zdarza się często, a osobliwie w okolicach, gdzie kaczki skazane są na życie w przyrodzie przez dnie całe, iż swojskie także kaczki łączą się ze stadami dzikich i więcej do domu nie wracają.

Na kaczce domowej objawia się najdobitniej wpływ hodowli, najoczywiściej znaczy się ta straszna potęga, jaką dzierży w swym ręku człowiek kultury. Podczas gdy na pół dziko utrzymywane w pewnych okolicach, podrzędną swą produkcyą i upierzeniem cofają się do swych dzikich współplemienniczek, przebywa kaczka intenzywnej kultury coraz dalszą przemianę kształtów i ustroju, i ku coraz doskonalszej produktywności postępuje.

Nasze białe kaczki domowe są częściowymi albinosami w ustalonej już o tyle odmianie, iż przelewają na potomstwo swe przymioty, a wytworzyły się niezawodnie zmiennymi stosunkami klimatycznymi, zimując u nas, a głównie pod wpływem roślinnego żeru, jakiego im sztuczna hodowla niemal wyłącznie dostarcza. Albinizm ten nie dotyczy zalbinizowania oka, a w szczególności błon tegoż i tylnej ściany tęczówki, dlatego nazywam go częściowym. Kaczka biała, nie wytwarzając barwników upierzenia, które zawsze powstawać muszą kosztem pożywienia i za pomocą podwyższonej działalności skóry, staje się za to w innym kierunku produktywniejszą, wydając nienormalną ilość jaj i osadzając więcej tłuszczu. Stąd pochodzi, że kaczki białe więcej są dla hodowli cenione, niż wszelkie inne krase ich odmiany. Częściowy ów albinizm i ku pożytkowi człowieka skierowana produktywność, jest zawsze stanem patologicznym, na który oprócz naprowadzonych przyczyn, składają się jeszcze i inne t. j. brak doboru płciowego i zmiana z mono- na polygamią, w jakiej żyją wszystkie kaczki domowe.

Pomimo przymusowej polygamii u kaczorów swojskich, objawia się u nich niespodziewana w tych haremowych stosunkach lubieżność i nienaturalna natarczywość miłosna także względem innych, bardzo nawet różniących się gatunków ptactwa domowego, czego wszystkiego nie dostrzegłem u kaczorów dzikich, pomimo monogamicznego pożycia i pomimo błąkania się wielu egzemplarzy samczych bez pary. Widocznie zatem, iż zmiana porządku odwiecznego przyrody przez kulturę, wprawia w chorobliwy stan organizm zwierzęcia i jest przyczyną pojawów monstrualnych.

Kaczka od przyrody skazaną jest na pobieranie żywności z wody i we wodzie, ustrojem swoim i całym organizmem należy ona tylko do tego żywiołu, a w dzióbie swym posiada znakomity instrument do wyławiania żeru z wody. Podczas gdy u wielu innych ptaków dziób jest organem zrogowaciałym, nieczułym i tylko jako narząd chwytny służyć mogącym — posuniętą jest organizacya dzióba kaczego do najwyższej ze wszystkich ptaków subtelności i komplika-

cyi. Subtelność tę spostrzec można, oprócz u kaczek i pokrewnych im z rodziny karbodzióbych, także u ptaków bekasowatych, a mechanika tego dzióba jest zupełnie oryginalną. Dziób u wszystkich kaczek jednako przedstawia się w nasadzie, jest u przodu spłaszczony i rozszerzony, a górna część kończy się wyrostkiem twardym i rogowatym. Jestto jedyna część zupełnie zrogowaciała, bo reszta powleczona jest miękką skórką, w której się rozgałęzia gęsta sieć nerwowa z piątej pary nerwów centralnych, nadając temu przyrządowi niesłychaną czułość. Brzegi obu połówek dzióba opatrzone są karbami dość ostrymi, które zachodzą jedne za drugie, a przedłużają się u niektórych odmian niemal w rodzaj szczoteczki (u płaskonosa *Spatula clypeata)*. Karby te lub szczoteczki, które u kaczek domowych znacznie zanikają, tracąc cel swój wskutek odmiennego żywienia się, nie odgrywają bynajmniej roli zębów; ptak ten jest tak szczęśliwy, iż zębów wcale nie potrzebuje, połykając żywność; karby te służą mu jedynie za cedzidła, aby przy żerowaniu nie był zmuszony wraz z żywnością i wodę połykać.

Obserwując ustrój dzióba rozmaitych odmian, przyszedłem do przekonania, iż ukształcenie owych karbów lub szczoteczek może dać ważne wskazówki co do wyżywienia ptaka, jakoteż sposobu pobierania żywności. Im więcej ptak roślinnego żeru nad powierzchnią wody spożywa, tem bardziej zanika to ukarbowanie, przeciwnie zaś wykształca się monstrualnie u odmian, skazanych wyłącznie na żerowanie tworów zwierzęcych w wodzie. Kaczka cyraneczka *(Anas crecca)*, prawie wyłącznie nasionami żyjąca, jakoteż wspomniany już płaskonos, stanowią dwie ostateczności w tym kierunku. W tem może leży przyczyna, iż wszelkie próby, robione dotychczas w celu udomowienia płaskonosa, owej najstrojniejszej z naszych kaczek, pozostały bez skutku, gdyż prawdopodobnie wymaga on pożywienia wyłącznie zwierzęcego, a ptak takiej natury wcale do hodowli się nie nadaje.

Żywność kaczek dzikich, to bardzo szeroki i długi jadłospis, mieszczący w sobie wszelkiego rodzaju mięczaki, robaki, owady, drobne płazy, żaby, jaja tychże i stany przejściowe t. z. głowacze, ikra rybia, a nawet drobniejsze rybki, nasiona rozmaitych roślin wodnych, wodorosty zawierające w sobie znaczną ilość gumowych części, a wreszcie i grube nasiona niektórych drzew leśnych, jak żołądź i t. d. Wszystkie kaczki jedzą wiele, trawią szybko, tak iż stały się powodem znanego przysłowia i znanej anegdotki myśliwskiej z życia Münchausena.

Kaczka wszelki żer łakomo połyka, a za chwilę znowu głód odczuwa, bo działają tam nadzwyczaj silne czynniki trawienia, bardzo ostre soki, które wszystko, co żywe jeszcze do wnętrza się dostaje, zabijają i bardzo energiczny proces asymilacyjny powodują. Dopomaga w tem kaczce także mechaniczna siła bardzo muskularnego żołądka, jakoteż wól, skąd jakby z magazynu na kamień młyński zboże, przesuwają się zwolna pokarmy, pod chemiczne i mechaniczne działanie żołądka i jego soków. Miarę energii trawienia stanowić może okoliczność, iż kaczki trawią orzechy laskowe w łupinie, a nawet powierzchnię metalów połkniętych narusza silny kwas żołądkowy.

Zdarza się, iż w żołądku kaczki znaleść można ciała, które z pewnością jako pokarm służyć nie mogą, n. p. drobne krzemienie. Niektórzy fizyologowie przypuszczali, że czynią to kaczki z głupoty, jednak przyzna każdy, że takie tłumaczenie nikogo zadowolnić nie może, a nie chcę tu naprowadzać domysłów, mających na celu koniecznie wykazanie celowości przyrody, która, jak Kant powiada „wprowadzoną jest w świat przez reflektujący umysł człowieka, podziwiającego zwykle cuda, które sam sobie stworzył“. Pokąd wolno dajemy igrać falom uczucia, dotąd innem okiem spoglądamy na przyrodę, gdy jednak fala ta umknie pod działaniem zimnego rozumu, musimy się wyemancypować z pojęć o celowości przyrody.

Nadzwyczaj chętnie żeruje kaczka nasiona trawy, zwanej u nas „manną“, w o d z i a n k ą albo k o s t r z e w ą *(Festuca fluitans)*, rosnącą na wodą zalanych, lub przynajmniej mokrych łąkach. Ziarno tej trawy dojrzewa w lipcu lub sierpniu, a utłuczone, podobnie jak proso w stępach, pożywane bywa przez lud. Szczególnie krzyżówki i cyranki zbierają się gromadnie w miejscach, gdzie trawa ta dojrzewa. Również rzęsę wodną *(Lemna)* skubią chętnie obie wzmiankowane odmiany kaczek.

Czasem i kaczka przebierze miarę, przeje się i, co zatem idzie, cierpi na niestrawność. Dowody tego składa na łąkach lub wodach w kształcie nieforemnych galaretowatych mas siwych. Są to wymioty kacze.

Naturalnie, że o zmyśle smakowym ptaka, który wszelką żywność prawie żywcem połyka, nie da się nic powiedzieć. Zdaje się, że zmysł ten u niego wcale nie istnieje, a mięsisty język służy tylko jako muszkularny narząd do połykania. Zmysł smaku zdaje się być zastąpiony ową czułą, nerwową skórą na dzióbie, odgrywającą niezawodnie tę samą rolę w doborze pożywienia i wyszukiwania tegoż wśród rozmaitych przymieszek w mule, w wodzie i t. p., co nasz zmysł smaku w jamie ustnej. To też z miną prawdziwego smakosza oddaje się kaczka czynności sondowania w byle jakiej kałuży, gdzie żywność się znajduje, i prawdopodobnie zetknięcie się dzióba z żywnością sprawia jej wrażenie smaku lub jakiegoś podobnego uczucia przyjemnego.

Wszystkie kaczki pływające pobierają tylko na powierzchni swój żer, co najwięcej koziołkują na wodzie, stając w przewróconej pozycyi.

Przekonać się można z jadłospisu kaczki, że nie należy ona do zwierząt zupełnie nieszkodliwych, owszem wyrządzić by mogła znaczne szkody w rybactwie sztucznem przez wyjadanie ikry a nawet rybek, zwłaszcza przy tak strasznej żarłoczności. Jednakże z jednej strony techniczne sposoby, używane przy sztucznej hodowli ryb, w celu ochrony ikry, z drugiej zaś płochość tego ptaka, który z pewnością nie gości długo na wodach, gdzie go niepokoją, nie czynią kaczki dzikiej tak dalece niebezpieczną.

Jeżeli zaś na wodach dzikich wyrządza w rybactwie jakąś szkodę, to przecież i ona sama daje pożytek, a szkoda przez nią wyrządzona niknie w obec spustoszeń, jakie w wodach dzikich sprawiają sami jej mieszkańce, t. j. ryby drapieżne, jak okoń, węgorz, sum, szczupak i inne.

W kałużach i kołbaniach, nie mających łączności z innymi rybnymi wodami, rozplenia kaczka dzika rybę, przenosząc nieraz ikrę na puste wody.

Dobroduszny i towarzyski ten ptak staje się według okoliczności bądź nadzwyczaj ostrożnym, chytrym, bądź spoufala się i przyswaja, gdy uznał, że mu ze strony człowieka nie grozi niebezpieczeństwo.

Na maleńkim stawku w Juśkowicach, wśród jedynej smuszki szuwaru, gnieździła się kaczka w maju r. 1880. Spostrzegł ją parobek z gorzelni i dał mi znać o tem. Gdy poraz pierwszy do miejsca tego się zbliżyłem, wzleciała, a na gnieździe ujrzałem 11 jaj. Stałem dłuższy czas na brzegu, a kaczka chyżym lotem zataczała w powietrzu koła rozmaitych promieni; gdy się oddaliłem o kilkaset kroków, zapadła na gniazdo. Poleciwszy ludziom, którzy o niej wiedzieli, aby

jej niczem nie niepokoili, odwiedzałem ją niemal co dnia, przynosząc jej rozmaite pokarmy; to trochę chrabąszczy majowych, to garstkę pszenicy. Trwało to tydzień. Kaczka zawsze się zrywała za mojem przybyciem, jednak w mej nieobecności zjadała podane przysmaki. Przyszedłszy już może po raz dziesiąty, gdy stanąłem na brzegu, może o 4 kroki od gniazda, kaczka się nie zerwała, jak to zwykle czynić była zwykła. Sądziłem, że już jej tam niema; począłem tedy przeglądać dokładnie szuwary, i przez drobną szczelinę ujrzałem ją siedzącą na gnieździe, a ciemne, dobroduszne jej oko patrzyło na mnie z wyrazem przyjaźni i zaufania. Wychowała szczęśliwie kaczęta, bo w czerwcu gęste osoki pokryły brzegi, a z początkiem lipca wraz z podlotami znikła ze stawku.

Z grobli w Komarnie (w Rudeckim) można obserwować często pływające na dawnem stawisku kaczki o kilkanaście kroków od przechodzących i przejeżdżających, a gdy chłopcy kamieniami je płoszą, to wzlatują chyba dlatego, aby usiąść o kilkanaście kroków dalej. Strzelbę jednak znają doskonale i potrafią zdradziecki ten instrument odróżnić od daleko straszniej wyglądających drągów i kosturów, którymi się posługują rybacy. (C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Kraków w marcu.

(Poturzyckie łowy w r. 1891.)

Tego roku właściciel Poturzycy JE. Włodzimierz hr. Dzieduszycki, dla ciągłych przeszkód nie mógł o swoim czasie zapolować, i niekłamany smutek zapanował wśród drużyny myśliwych, których łaska gospodarza dorocznymi zaprosinami do jednej z najpiękniejszych kniej w Polsce oddawna zaszczycała.

Gdy jednakże pod koniec lutego interesa prywatne właściciela na parę tygodni do Poturzycy powołały, a okazała się potrzeba odstrzelenia kilkudziesięciu dzików, które w większej niż zazwyczaj liczbie obfity plon żołędzi do lasów Poturzyckich zwabił, hrabia Dzieduszycki zaimprowizował na prędce łowy, i zaprosił na nie kilku bliższych znajomych i krewnych, jakoteż sąsiadów. Wynik łowów wszelkie przeszedł oczekiwania, bo w 7 dniach zabito 41 dzików, 3 wilki, 37 rogaczy i 6 lisów. Waga i pozór upolowanej zwierzyny wskazywały dowodnie, że mimo ciężkiej zimy głodu nie zaznała, dzięki żołędzi i bukwie! Uderzająco piękne i niezwykle wyrosłe były rogi upolowanych rogaczy, wśród których trzy ósmaki podziwialiśmy. W ogóle stan sarn w Poturzyckich kniejach bardzo się podniósł, a i zające więcej widziano w miotach, aniżeli roku zeszłego. Dziki w każdym miocie można było napotkać. W rewirze Skomorochy padło jednego dnia 17 dzików, a mianowicie 1 odyniec, 2 wycinki, 11 samurek i przylatków, i 3 warchlaki. Polowanie na owego odyńca o mało co, że tragiczny nie wzięło obrót. Odyniec z trzema śmiertelnymi kulami w ciele dowlókł się dysząc i kłapiąc szablami na 15 kroków przed stanowisko hr. L. S., który go 4-tą kulą na ziemię powalił. Wtem dzik, którego już nikt za żywego nie uważał, zerwał się nagle do skoku, obtarł się o hr. L. S., strzelbę mu z ręki wytrącił, i choć miał jedną przednią i tylną łopatkę strzaskaną, w około drzewa za nim się trzykroć upędzał. Przytomność i celny strzał przybiegłego na ratunek ze sąsiedniego stanowiska hr. S. S. położyły koniec tej niebezpiecznej gonitwie.

Polowania w Poturzycy zaczęły się d. 24. lutego. Polowano z częstymi przerwami, ostatni raz d. 5. marca. Wszyscyśmy, uczestnicy tych łowów, oprócz niezatartej pamięci iście staropolskiej gościnności i uprzejmości powszechnie szanowanego i kochanego gospodarza, wynieśli to przekonanie, że sposób polowania na dziki, jaki się w Poturzycy od lat 21 konsekwentnie praktykuje, tj. branie wielkich miotów, nieraz 300-morgowych, nagonka z krzykiem a gdzie gąszcze i z wystrzałami ze strzelb, skrzydła częścią sankami, częścią myśliwymi obstawione, rozstawianie umiejętne myśliwych wedle wagi i przechodu zwierzyny, — daje rezultat zawsze jaknajpomyślniejszy, gdyż dziki prawie zawsze na linię myśliwych wyprowadza. *A. S.*

Olejów w marcu 1891.

(Łowy jakich mało).

Od najmłodszych lat moich jedynem mojem marzeniem było polować w Poturzycy; tego roku w lutym marzenie to spełniło się, zostałem zaproszony do Poturzycy. O! było o czem marzyć lato całe, bo to ostatnie łowy polskie w kraju, łowy, które utrzymują tradycyę dawnych łowów magnatów polskich.

Szczęśliwy ten łowiec, który choć raz tam polował i widział, jak w Polsce dawniej polowali — z tym przepychem i tą prawdziwą myśliwską ochotą i znajomością.

O kniei nie chcę mówić, bo dość zdaje mi się sława ustalona jej pod względem ilości i rozmaitości zwierza, lecz chcę mówić o prowadzeniu ostatnich łowów polskich.

Bo gdzież się spotka taką liczną drużynę myśliwską? Rano, przed polowaniem, zajeżdża przed dwór w Poturzycy 37 sani i całym szeregiem długim, który tylko przy szerokim skręcie okiem dojrzeć można, prowadzonym przez szanownego gospodarza w tempie prawie wyścigowem, zdąża do kniei oddalonej o trzy lub dwie mile. Tam po przybyciu do leśniczówki, posila się grono to liczne śniadaniem skromnem myśliwskiem i przesiada się szybko na inne sanie w takiej samej ilości, do której to liczby przyłącza się jeszcze długi szereg sani pod gończów — i dopiero cały ten orszak, z pryncypałem swoim na czele, dąży do uroczej kniei, która już niedaleko. I gdy cały ten pochód przyjechał do lasu, wtenczas straż myśliwska zdaje swe raporta, gdzie dziki lub wilki obległy, wtenczas to szanowny gospodarz wydaje rozkaz po naradzie, który miot i w jaką stronę gonić się będzie, a po wydaniu tych poleceń zwołuje głosem trąbki swą myśliwską drużynę, objaśnia, co się brać będzie, jako miot pierwszy, do czego strzał pierwszy i jak się mają zachować myśliwi ci, co pierwszy raz u niego polują, wreszcie ile dzików obtropiono i w jakich miotach.

Przestrzeń pod miot jeden bierze się tak obszerna, tak olbrzymia i długa, że w innych okolicach możnaby i dzień cały w niej polować. To też nikt się nie dziwi, że biorą

w Poturzycy z wysileniem miotów cztery. Zapaleni strzelcy tu by się nudzili, ale nie myśliwi, to też gospodarz w Poturzycy takich unika, i grono wybranych poluje tylko w Poturzycy — prawdziwi myśliwi, posłuszni skinieniu i głosowi swego naczelnika.

Jedzie więc cała drużyna za sańmi pryncypała w milczeniu z sercem bijącem, patrząc na wetknięte gonty w śniegu, na których wyryty jest numer myśliwego, gdzie który ma stanąć. Bo też gospodarz nie poluje dla siebie, poluje dla gości, on siebie nigdy nie stawia aby strzelił, lecz mając spis myśliwych przed sobą, łamie sobie głowę, czy tu tego postawić lub owego, by ten, który pierwszy raz w Poturzycy, mógł strzelić do tego coraz rzadszego zwierza, jakim jest już dzik. I gubią się po drodze wybrańcy fortuny, których numera w śnieg zatknięte zostały i oddala się szereg sań coraz bardziej, nareszcie wszyscy stanęli. Miot taki trwa dwie i trzy godziny, lecz warto tak długo stać na stanowisku, bo mało się zdarza, aby pryncypał kogo źle postawił, by do grubszego zwierza nie strzelił, lub w najgorszym wypadku go nie widział. Z powodu przestrzeni, jaką na jeden miot biorą, zdaje się, gdy huczki znak dadzą, iż obława ruszyła, że gonią w innym powiecie. Lecz to oczekiwanie, choć długie, tem milsze i droższe, i czekałbyś drugie tyle, bo nadzieja coraz bliższa spotkania. Strzał pewny zwykle do dzika, bo tak dobrze są otropione, że rzadko się zdarza, żeby ich nie było, lub żeby inną stroną wyszły, a gospodarz wagę zwierza zna tak, że choć wiatr fałszywy goni się przeciwnie i dobrze wypada. I po licznych strzałach, z których się zdaje, że to do mniejszej zwierzyny, a one wszystkie do dzików prawie, czekają wszyscy na odgłos trąbki, która wybrańcom fortuny pozwoli zobaczyć, zeszedłszy ze stanowiska, czyja kula w dziku.

Siada znów gospodarz na pierwsze sanie z długiego szeregu i wraca tą samą drogą, na której rozstawiał myśliwych, po drodze rozpytując, kto strzelił i zabił, godzi powaśnione spory i spółki, ogląda gdzie kula w zwierzu, wydaje wyrok kto zabił, i wszyscy nań chętnie przystają, bo zanadto szanują zdanie najstarszego z myśliwych i nie ma wypadku, aby kto był niezadowolony. Tego nieszczęśliwego, który chybił lub dobił cudzego dzika, pociesza miłą nadzieją, że dziś jeszcze strzeli do dzika — i rzadko się zdarza, by się pomylił, bo zna dokładnie manowce i drogi, którędy zwierz grubszy chodzi.

I po takich trzech lub czterech miotach zabrzmiewa znowu trąbka odjazdu do domu i wszyscy zadowoleni, że byli w Poturzyckiej knieji, upojeni wrażeniami dnia tego, pocieszając się znowu miłą nadzieją objadu myśliwskiego, i gościnnością gospodarza a wreszcie kończą ten miły dzionek wśród wesołych rozmów w myśliwskiem gronie.

Kończę ten krótki opis polowania w Poturzycy, życzeniem dla najstarszego z myśliwych, aby mógł jeszcze przyszłemu pokoleniu pokazać, jak to w Polsce u nas dawniej polowali!... *Aleksander Wodzicki.*

Stronibaby d. 1. marca.

(W obronie chartów).

Czytając w numerze styczniowym „Łowca" pozdrowienie noworoczne, którem Szanowna Redakcya obdarzyła swoich czytelników, wyobrażałem sobie, że słyszę pobudkę myśliwską, głos trąbki krótki, urywany a gromki — idący wprost do serca, bo z serca pochodzący. Nie wątpię, że jestem tłumaczem uczuć wszystkich czytelników „Łowca", składając niniejszem Szanownej Redakcyi serdeczną podziękę za to przesłane nam pozdrowienie.

Przeczytałem raz i drugi i trafiłem na ustęp o ustawie łowieckiej, i na uwagę Szanownej Redakcyi, że obowiązkiem naszym jest, rozświecać dalej tę sprawę, by ułatwić Sejmowi zadanie uchwalenia takiej ustawy, któraby przyniosła korzyść krajowi — a drużynie myśliwskiej zapewniła użycie szlachetnej rozrywki. Słuszna ta uwaga zachęciła mię do napisania tych słów kilku, które może zechce Szanowna Redakcya umieścić w „Łowcu", jeżeli uzna, że odpowiadają celowi.

W projekcie ustawy łowieckiej, wypracowanym przez Wydział krajowy i przedłożonym Sejmowi w listopadzie 1887, jest jeden paragraf, który swego czasu napsuł mi krwi dużo, przeciw temu więc paragrafowi atak mój jest skierowany, a to przeciw paragrafowi 61., którym zamierzano opodatkować charty.

Chart u nas nie cieszy się względami dzisiejszego cywilizowanego łowiectwa, przywiązane jest do niego uprzedzenie — mojem zdaniem niczem nie uzasadnione, co też starać się będę udowodnić.

Francuz i Niemiec nie polują z chartami, bo nie mają gdzie; stoją tam na przeszkodzie: wysoka kultura krajów na zachodzie, brak przestrzeni bezleśnych i inne warunki społecznej natury. Dlaczegoż jednak my Polacy mielibyśmy już dziś przestać polować, kiedy mamy jeszcze, zwłaszcza w wschodniej części naszego kraju, te bezleśne przestrzenie, kiedy kulturą wysoką nie możemy się poszczycić, dzięki macoszym rządom, a inne warunki są też jeszcze po temu.

Naśladujmy narody cywilizowane w ich urządzeniach gospodarstwa łowieckiego, lecz zachowujmy również to, co jest nasze własne, rodzinne — barbarzyńcami przez to nie będziemy.

Ja widzę w polowaniu z chartami jednę z cech naszych narodowych. Polowali nasi ojcowie, dziadowie, pradziadowie, polowaliśmy ongi na kresach na inną zwierzynę, a chart był nieodstępnym towarzyszem żołnierza. Dziś prócz wspomnienia, nic nam nie pozostało z tej rycerskiej naszej przeszłości, ten pies jest jeszcze jedyną, wprawdzie słabą, lecz też i ostatnią nicią, wiążącą nas z nią — nie dajmy mu więc zaginąć.

W dzisiejszem naszem nieszczęśliwem położeniu politycznem, powinniśmy każdą naszą cechę narodową, z wyjątkiem tych narodowych grzechów, które przyczyniły się do naszego upadku, przechowywać jako talizman, chroniący nas od utonięcia w morzu kosmopolityzmu i od zagłady narodowej.

Że paragraf ten prześliznął się do projektu ustawy łowieckiej, który omal nie stał się ustawą — a w Sejmie nie znalazł się nikt, którenby przeciw tej niesprawiedliwości był zaprotestował — przypisuję to nie tyle może temu uprzedzeniu, ile objawowi u nas dość powszechnemu, nawet w sprawach publicznych, że co kogo z bliska nie obchodzi, jest mu obojętnem. Zasada ta jednak mści się często na tych samych, którzy jej hołdują: *hodie mihi, cras tibi.* A skutkiem takiego postępowania jest niepowodzenie ogółu.

Społeczeństwo, w którem przeważa ilość takich jednostek, jest bezsilnem — nie zaważy nigdy na szali — bo nie porwie się do czynu jak jeden mąż, działanie jego jest podobne do tego nieudanego rotowego ognia, gdzie zamiast jednej grzmiącej salwy, słychać tylko pojedynczą pukaninę, bez efektu... Okazało się to jaskrawo, gdy chodziło o obronę żywotnych interesów, ogółu rolników, zagrożonych nową ustawą gorzelnianą.

Pomimo tego, co powiedziałem, że sprawa nie jest popularną, nie waham się skruszyć kopii w jej obronie, bo jestem głęboko przekonany o jej słuszności.

Paragraf 61. wspomnianego projektu brzmi: „Właściciele chartów opłacają od nich taksę po 10 zł. od każdej sztuki i otrzymują odpowiednie karty, co do których postanowienia w tej ustawie zawarte, znajdą także swoje zastosowanie".

Najpierw co do stylizacyi.

Każda ustawa, mająca obowiązywać obywateli państwa, powinna wyrażać tak jasno i dobitnie myśl ustawodawcy, żeby wszelka dwuznaczność była wykluczoną, wszelka dowolność w jej tłumaczeniu niemożliwą, w przeciwnym bowiem razie, otwarte jest pole do nadużyć i różnych dokuczliwości. Ze stylizacyi §. 61. nie można wiedzieć, czy właściciele chartów opłacać mają po 10 zł. od sztuki rocznie, czy też jest to tylko jednorazowa opłata od charta, jak długo on żyje. Słowo „rocznie" (przypuszczać bowiem trzeba, że taką była myśl ustawodawcy) zostało przypadkiem, czy też umyślnie opuszczone i trzeba się dorozumiewać dopiero z dalszego ustępu §. 61., i z postanowień §. 58., o kartach myśliwskich, że to ma być opłata roczna.

Nie można również wiedzieć, czy opłacie tej podlegają tylko charty dorosłe, roczne t. j. zdolne do polowania, czy też i szczenięta — w razie bowiem, gdyby ta opłata ciężyć miała także na szczeniętach, nie pozostawałoby właścicielom chartów, jak wywieszać wszystkie charty. Każdy charciarz prawie co roku odświeża swój miot młodymi, po oszczenieniu zostawia się przez parę tygodni większą ilość charciąt, żeby z nich wybrać najładniejsze do chowu.

Otóż wedle brzmienia §. 61. obowiązanyby był właściciel chartów, zapłacić po 10 zł., nawet od tych sztuk, które po wyborze, jako brak, idą na dno rzeki.

Dalej jest powiedziane w tym paragrafie, że właściciele chartów otrzymują odpowiednie karty, co do których postanowienia, w tej ustawie zawarte, znajdą także swoje zastosowanie, a ponieważ §. 60. mówi, że każda karta podlega taksie 8 zł. od osoby i karty, możnaby z tego wydedukować, że właściciele chartów będą opłacacali, oprócz 10 zł. od sztuki, jeszcze po 8 zł. od osoby i karty.

A teraz co do rzeczy samej.

Zastanawiałem się, co mogło spowodować tego, który układał ten paragraf, do wymierzenia tak wysokiej kontrybucyi na właściciela charta, bo przecież 10 zł. od charta, wobec tego, że inne psy są wolne od podatku, to już nie podatek, to kara na tego, który śmie charta trzymać i kara na psa, że żyje.

Stawiałem sobie następujące pytania, by odszukać powód tej zawziętości:

1. Czy chart jest psem szkodliwym dla dzisiejszego gospodarstwa łowieckiego? Czy niszczy zwierzynę?

Utrzymuję stanowczo, że nie.

Chart nie ma węchu, każda więc zwierzyna, której nie widzi, jest bezpieczną. Ileż razy zdarzyło mi się, że chart prawie że nastąpił na zająca siedzącego w miejscu, i nie domyślił się, że go ma tuż pod swoimi stopami. Polem jego działania jest czyste, otwarte pole, każdy więc las, krzaki, zarośla, zboże są bezpiecznem schronieniem dla zwierzyny wobec jego pościgu.

Na wiosnę i w lecie, kiedy zwierzyna jest młodą i najłatwiej może być tępioną — chart jest całkiem nieszkodliwym, bo stojące zboże ochrania całkowicie zwierza przed nim; każdy chłopski kundys, legawiec, gończak, jest szkodliwszym od charta, bo te mają węch, tropią i tępią młodą zwierzynę.

Chart łapie tylko zająca i lisa, sarna nie boi się go, bo na bliską metę szybsza, a jeżeli mu się to czasem trafi, to jak ślepej kurce ziarnko, tak, jak trafia się najlepszemu strzelcowi zastrzelić sarnę zamiast kozła.

Zresztą dziś każdy charciarz czepia swoim chartom kłódki, a te robią je całkiem nieszkodliwymi.

2. Czy chart jest zabawką wielkopańską? przedmiotem zbytku i to zbytku tak rażącego, że należałoby go już dziś u nas opodatkować?

Utrzymuję, że nie.

Najpierw, gdybyśmy mieli zaprowadzać podatek od rzeczy zbytkowych, (który nawet w państwie nie jest jeszcze wprowadzonym), a chart istotnie był zbytkowym, to nie od niego powinnibyśmy rozpoczynać. Zaprawdę, wystawilibyśmy sobie niezaprzeczenie świadectwo nędzy galicyjskiej, rozpoczynając od charta epokę podatku zbytkowego, czyli innymi słowy stwierdzilibyśmy, że chart jest szczytem naszej zamożności.

Wielcy panowie nie polują z chartami — jeżdżą do Afryki na lwy, tygrysy, w góry na niedźwiedzie, na Litwę na łosie, polują z biglami. Chart jest wiernym towarzyszem jednowioskowego szlachcica lub dzierżawcy — to jego jedyna rozrywka. W polu na koniu z chartami zapomina on na chwilę o biedzie, myślą sięga w lepsze minione czasy i czerpie tam siły nowe do walki o byt.

Z jednego tylko punktu widzenia byłoby usprawiedliwionem mierne i stosunkowe opodatkowanie właścicieli chartów. Projekt ustawy łowieckiej Wydziału krajowego ustanawia taksę 8 zł. za posiadanie karty myśliwskiej, bez której polować nie wolno, więc każdy, który chce polować, musi zapłacić za tę przyjemność i korzyść. Ponieważ polujący z chartami ma także przyjemość i korzyść, choć nie w tym samym stopniu, słusznie więc, żeby zato zapłacił. Lecz za zniżeniem tej opłaty dla charciarzy przemawia:

a) że chart nie jest ani Teschnerówką ani Lankastrówką, z której można położyć każdą zwierzynę — chart łapie tylko zająca i lisa;

b) chart tak zwany „pojedyńczy", t. j. ten, który bierze sam zająca i lisa na każdem polu — trafia się na sto jeden, powiedziałbym więcej, egzystuje tylko chyba w wyobraźni charciarzy, i zawdzięcza swój byt i sławę bladze myśliwskiej. Może dawniej inaczej bywało, dziś więcej takich, które mydło wożą.

Czy ród charci zdegenerował? czy też może myśliwi winni? Ja lat 30 mam charty, lecz takimi poszczycić się nie mogę. Zwykle smycz (para bardzo dobrych chartów) stanowi dopiero tę siłę charcią, potrzebną do złapania zwierza, i to nie zawsze. Najczęściej jednak poluje się z trzema chartami.

Z przytoczonych powyżej powodów, opłata od sztuki byłaby krzyczącą niesprawiedliwością.

Jeszcze jedna uwaga. Mówi się wiele o wychowaniu młodzieży, o niedostatecznem rozwijaniu sił fizycznych, o braku zdrowia, o jej zniewieściałości. Pytam się, czy może na rozpiętym stołeczku w lesie, przed nagonką, nabierze tego wszystkiego młodzieniec?

Nie! na koniu w polu z chartami, sadząc przez rowy i przeszkody! Tam szkoła zręczności, odwagi, obycia się z niebezpieczeństwem, tam zdrowie i życie!

A czy dużo znajdzie się takich ojców, którzyby mogli zdobyć się, dla swoich synów, na ten zbytek i opłacać rocznie, w czasach takiej biedy, jaką teraz klepiemy, po kilkadziesiąt zł. za charty?

Bo też p. Dunajewski postarał się o to, by naszą i tak już podziurawioną odzież zamienić w strzępki.

Wracam jednak do rzeczy i apeluję do posłów z większych posiadłości ziemskich wschodniej części naszego kraju, by w chwili, kiedy ta sprawa będzie rozstrzygać się w Sejmie, wzięli w obronę charta, i nie dali mu zaginąć, a zaginie on z pewnością, jeśli nam każą opłacać 10 zł. od sztuki.

Projekt ustawy łowieckiej, wypracowany w ministerstwie rolnictwa, obszedł się z chartami i z nami charciarzami daleko łaskawiej, niż projekt Wydziału krajowego, bo nic o nas nie wspomina.

Utrzymują, że najszczęśliwszą jest ta kobieta, o której najmniej mówią. Otóż i nam charciarzom nic więcej do szczęścia nie potrzeba, jak żeby o nas na razie całkiem zapomniano.

Podnoszę *ad hoc* stare, zdyskredytowane hasło: „Naj bude, jak buwało“.

Gdyby jednak okazało się, że musimy, bądź co bądź, opłacić haracz ideom nowatorskim, które widzą jedyne zbawienie w popychaniu dalej naprzód bryły świata nowymi tory, w takim razie sądzę, że co najwięcej, możnaby nałożyć na właścicieli chartów opłatę równą tej, jaką proponuje projekt ustawy łowieckiej ministerstwa rolnictwa od kart myśliwskich, tj. 5 zł. i to nie od sztuki, od charta, lecz za prawo polowania z chartami.

Właściciele chartów obowiązaniby byli mieć również karty myśliwskie, za które opłacaliby taksę 5 zł. rocznie, od osoby i karty. *Kazimierz Obertyński.*

Z pod Brodów d. 10. marca.

(Z notatek myśliwskich. — Dzicza knieja).

W tym myśliwskim roku dużo polowałem, tak, że nawet nie było czasu napisać o błotnem polowaniu. Więc chociaż teraz donoszę, cośmy zrobili na naszych ślicznych błotach.

Ciągi dubeltów jak zwykle zaczęły się koło św. Anny, chociaż nie tak pięknie jak innych lat, z powodu, że przychodziły częste grady. Padło wprawdzie ze 300 sztuk, ale w porównaniu z błotami oleskimi, to mało, gdyż tam padło 450 a zwykle brodzkie są lepsze.

Nieraz to już uważałem, że dubelty nie ciągną z gradową chmurą, tak i teraz było. W Olesku gradu nie było, więc i dubeltów więcej zabito niż na Sznyrowie i Bołdurach, gdzie w czasie od 25. lipca do 10. sierpnia prawie co trzeci dzień był grad.

Hr. Leopold Starzeński zabił u mnie 99 dubeltów i tyleż kszyków. Dziwny ten traf powtarzał się prawie przez dwa tygodnie, że ciągle jednakową liczbę kszyków jak dubeltów miewał. Jubileusz setnego kszyka obchodziliśmy w Kutkorzu szampanem, ale niestety dubelta setnego nie było. I tak, on poszedł na błota, a ja w kartofle na kuropatwy; on na błocie nie znalazł, a ja w kartoflach ruszyłem dubelta.

W tym roku na Bołdurach było więcej niż na Sznyrowie dubeltów, za to we wrześniu miałem śliczne 3 dni na Sznyrowie, 22. 23. i 24. gdzie zabiłem 20 dubeltów*, 73 kszyków, 6 fitzklauzów, 4 baby i 36 chruścieli — razem 107 dubeltów, 98 kszyków, 8 fitzklauzów, 9 bab, 75 chruścieli, 39 kuropatw, 46 przepiórek, 17 słonek, 4 jarząbki, 5 jastrzębi, a zatem ptactwa razem 408 sztuk.

Oprócz ptactwa ubiłem w ostatnim sezonie myśliwskim: dzików 7, lisów 13, rogaczy 14, zajęcy 114, razem 556 sztuk.

Wszystko to zabiłem z drylingu Nowotnego, który mi dobrze służył, bo dla wprawy chodziłem na błota i w ogólności tylko z drylingiem. Mówią, że drylingi Nowotnego źle biją śrótem, że dalej nad 50 kroków zabić nie można, otóż powiem, że strzelałem i dalej, a strzały były ostre, ale dodam, że nie życzę sobie lepszej strzelby tylko takiej, któraby na 50 kroków ostro zabijała. W ogólności wystrzeliłem w tym roku 600 i kilkanaście nabojów.

Dziki jeszcze nie zaginą w naszej okolicy, pomimo dużych śniegów, w skutek których dużo na nie polowano i dużo zabito, gdyż mają ochronę w państwie Toporowskiem. Korzystają tam dziki ze zbiegu okoliczności, że już trzy lata hr. Baworowskiemu zawsze coś przeszkodzi na nie zapolować, a że w całym sąsiedztwie polują, a tam nie, i przytem dobrze są karmione — więc jak słyszałem, zebrało się ich tam więcej, niż sto sztuk.

W tym roku już było wszystko gotowe do polowania, a panowie leśniczowie, zlustrowawszy na próbę mioty, oświadczali, że są takie stanowiska, iż nie z drylingiem ale z dwoma trzebaby stać, żeby móc strzelić do tej ilości dzików, która na jedno stanowisko wychodzi. Jest tam przytem świetny stan sarn, a zajęcy także ma być dużo. Bo też u hr. Baworowskiego karmią i pilnują zwierzynę jak mało gdzie, a biada kłusownikom! Delegat *Marceli Tyszkiewicz.*

Zarzecze d. 22. lutego.

(Daleki strzał.)

Przed paru laty opisał „Łowiec“ niezwykłe strzały kulami do kaczek w Pieniakach, może więc uzna za stosowne przyjąć i teraz następujący artykulik.

Chłop strzela — Pan Bóg kule nosi, mówi stare przysłowie. Sprawdziło się ono na mnie dnia 19. lutego b. r. Tego dnia, polując na dziki w lasach Próchnickich, przechodziliśmy — a było nas ośmiu myśliwych i chłopcy z psami — z jednego lasu do drugiego. Daleko od drogi, na lewo pod pagórkiem, zarośniętym lasem, zobaczyliśmy sarnę, która, stojąc prawym połciem do nas z wysoko podniesioną głową, nieruchomo na nas oczyła. Rogacz, koza, — rogacz! ma coś więcej na głowie jak łyżki, — tak, rogacz!

„Toby śliczny był strzał kulą, a wartoby do domu go przywieść“. W ten sposób drażnią mnie towarzysze. Wbijam więc góralską laskę w śnieg, opieram na niej dubeltówkę od J. Nowotnego z Pragi i posyłam z expresowej lufy klb. 500 pełną kulę. Rogacz odrobinę naznaczył, skoczył dwa razy, na chwileczkę znikł nam z oczu i mozolnie począł sunąć w górę — położył się pod sosną, wstał i znikł w lesie. Sprzeczamy się, że trafiony w miękkie, pod lędźwie, w pieczeń. Posyłam za nim na przełaj, a tymczasem odkroczono odległość, która okazała 340 kroków. Później przyniesiony rogacz był w środku, 17 centimetrów po za komorą, przestrzelony. *Kazimierz Zbyszewski.*

---

*) Niektórzy rozpowiadają że michałki dubelty różnią się od dubeltów lipcowych. — Tak nie jest; są to te same dubelty, często nawet większe, bo późniejsze, lepiej podkarmione.

Ze Zbarazkiego w lutym 1891.

(Przegląd myśliwskich stosunków).

Nie łatwą jest rzeczą korespondencya z okolicy tak ubogiej w zwierzynę jak nasza. Niekorzystne warunki łowieckie są tu następujące:

Bezpośrednio wzdłuż całego powiatu ciągnąca się granica rosyjska, znaczne opady śniegów na naszej wyżynie, blisko działu wód, opóźniona zwykle wiosna, postępujące szybko osuszenie bagien, przemiana zamulonych stawów na suche łąki, wyniszczenie lasów i pasienie częstokroć w takowych bydła, zmniejszająca się z każdym rokiem ilość nieużytków i ugorów — wszystko to oddziaływa na zmniejszenie stanu zwierzyny łownej, przy braku racyonalnego hodowania miejscowej, stałej zwierzyny.

Po nad wszystkimi przyczynami złego, góruje wszakże to, że psy włościańskie i koty włóczą się wszędzie po polach i lasach. Nigdy kłusownik nie jest w stanie wyrządzić takiej szkody, jak te zwierzęta niby swojskie, ale wygłodzone — i z potrzeby pobudzające w sobie pierwotny instynkt dzikiego zwierza. Ileż to piskląt, ile gniazd kuropatw, ile młodych zajączków pada ofiarą zdziczałych kotów i psów, wałęsających się po polach. Szczególnie w lecie, częstokroć wśród ciszy polnej, doleciało mnie żałośne kniazianie zajączka, parę razy wyśledziłem w zbożu psa szkodnika i wymierzyłem zasłużoną karę; lecz kota w zbożu trudno dosięgnąć, nawet pies legawy nie łatwo go dostanie, obawiając się ostrych pazurów.

W naszej okolicy, a nawet w powiecie Tarnopolskim, stan sarn znacznie się zwiększył. Kuropatwy skutkiem ostatnich dwóch nader śnieżnych zim prawie zupełnie wyginęły. Zajęcy jest znacznie mniej niż przed trzema laty, nawet w lasach, gdzie staranny jest nadzór, gdzie obfitą podają karmę i na wszelki możliwy sposób ochraniają zwierzynę, stan zajęcy się nie zwiększa. Działają tu ujemnie wpływy atmosferyczne, lecz i to zaprzeczyć się nie da, że jeden dbały właściciel łowieckiego obszaru nie jest w stanie zapobiec złemu. Bo czyż można wyniszczyć jastrzębie, lisy, wrony i inne szkodniki, napływające swobodnie ze wszech stron, częstokroć nawet w postaci dwunożnego, najinteligentniejszego szkodnika.

Dubeltów było tu bardzo mało, w czasie późniejszego ciągu we wrześniu, wcale ich nie widziałem. Kszyków było znacznie więcej niż przeszłego roku. Kaczek, szczególnie ceranek, było również więcej niż w ostatnich latach. Kilka stad mądrych krzyżówek nie opuszcza nas w zimie. Żywią się, jak mogą po oparach ojczystych, dając dobry przykład owym „Brazylijczykom“ polskim, goniącym za morze, za marą szczęścia złudnego, zapominającym, że w pocie czoła wszędzie pracować trzeba, że wszystko z daleka ładniej się wydaje niż z bliska, że roślina, zwierzę czy człowiek cierpią przerzucone do innego klimatu, w inną glebę i w inne warunki społeczne. Nawet panowie socyaliści nigdy nie wymyślą sposobu na uchylenie owego przekleństwa, danego w raju na drogę ludzkości: „będziesz pracował w pocie czoła twego“.

Piękna ta nasza ojczyzna, a tak biedna! Są lasy i pola, a nie ma zwierzyny. Są rozległe obszary wód, a mało ryb. Nawet już raki wywożą i z czasem wyniszczą. Każde pole pracy leży odłogiem, a emigracya zmniejsza te siły, coby podnieść powinny produkcyę. O, trzeba nam więcej pracowitości, wytrwałości i więcej wiedzy — a kapitał się znajdzie, bo ten szuka pomyślnych warunków rozwoju.

Mieczysław Konopacki.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Jabłonowie u księżnej Czartoryskiej, polowałem d. 21. i 22. stycznia i powiem, że na takich godach jeszcze nie byłem. Słuchajcie. W dwóch miotach padło 76 strzałów tylko do dzików. Bardzo dobrze prowadził polowanie pan nadleśny Oborski ze szkoły ś. p. p. Kazimierza Wodzickiego. Wydany był rozkaz, że tylko do dzików się strzela, pudeł było dużo, zawsze jednak zabito 10 dzików. Śniegi ogromne przeszkadzały łowom, więc tylko trzy mioty wzięliśmy w ten dzień, dwa mioty na dziki a potem trzeci na rogacze i zające. Nagonki było 200 ludzi oprócz kilkudziesięciu gajowych, którzy świetnie prowadzili nagonkę, bo ani jeden dzik się nie przebił. Tego dnia królem łowów był pan Irszny — (zabił 5 dzików), ja zabiłem 2., hr. Łoś 2., i Cielecki Juliusz warchlaka. Z warchlakiem tym była okrutna heca. P. Juliusz, wystrzeliwszy do niego kilka razy, nie mógł wyjąć ładunków wystrzelonych ze sztućca, więc go rzucił a sam dogonił warchlaka, i pomimo, że ten na niego się rzucił, złapał go i trzymał dopóty, dopóki gajowy nie podał mu strzelby i ten nabiwszy, strzelił mu pod ucho n. b. probując przedtem skłuć go kozikiem (co mu się nieudało). W Jabłonowie zwierzyna jest karmiona w lesie jak bydło w oborze lub konie w stajni. Dziki dostają kukurydzę, a sarny i zające koniczynę. To też wszędzie widać tam ład i porządek. W dużym parku kilkaset danieli rozwesela oko myśliwych, a w lesie tysiące sarn i z pewnością ze sto dzików. Rano o ósmej już gospodyni jest z nami przy śniadaniu, a o w pół do 9 podjeżdżają fornalki, sanie proste grochowinami wysłane, ale parobcy ciepło i dostatnio ubrani, a konie araby, siwe albo kasztanowate, ślicznie utrzymane, ogony do góry a chrapy rozdęte. I pomyśleć, że to sama niewiasta tak dobrze, daje sobie radę we wszystkiem! *Marceli Tyszkiewicz.*

— W Byczkowcach u p. Juliusza Cieleckiego odbyło się d. 19. stycznia polowanie w sześć strzelb. Bardzo rano młody gospodarz ruszył konno do lasu i już o dziewiątej godzinie przywiózł wiadomość, że jest obcięta maciora z trzema warchlakami na ściankach w małym miocie. O godz. 10 ruszyliśmy do lasu. Pierwszy miot wzięto na dziki, naturalnie pierwszy strzał do dzika. Dziki wyszły pomiędzy p. Cieleckiego i hr. Adama Starzeńskiego, obydwa strzelili razem do maciory i zabili po warchlaku. Maciora ranna z jednym warchlakiem przeszła przez pole do lasu, w którym mieliśmy polować. Posłano ją tropić, a tymczasem wzięliśmy parę miotów na zające. Zabito 1 lisa i 14 zajęcy, i właśnie kiedy dano znać, że dziki otropione, skończyliśmy miot. Więc nagonka prędko ruszyła w jedną a my zaczęliśmy się rozstawiać w drugą stronę, — i już w pół godziny potem słyszymy ogromny krzyk w nagonce. Była ta maciora, która uderzyła na naganiacza, przebiła się i została w miocie. Warchlak wyszedł na hr. Moszyńskiego, który go silnie śrótem postrzelił, a ja flankując expresem dobiłem. Za maciorą posłano gajowego, bez strzelby niestety, i ten pędząc ją przed sobą, wypędził za granicę, a chłopi ją w jego oczach dobili i zabrali. Wesoło wracaliśmy do domu, bo młodzi panowie Cielecki i Starzeński, zabiwszy pierwszy raz po dziku, nawzajem się wyfarbowali. *Marceli Tyszkiewicz.*

— W Pohorylcach, u pana Władysława Tchórznickiego, polowaliśmy w dziesięć strzelb d. 9. 10. i 11. grudnia z. r. Pierwszego dnia padł 1 rogacz, 2 lisy i 28 zajęcy; drugiego dnia 1 rogacz, 5 lisów i 93 zajęcy; trzeciego

2 lisy i 24 zajęcy — razem 156 sztuk na 388 strzałów. A zatem polowanie świetnie się powiodło.

Ale bo też w Pohorylcach wszystko świetne: dom, kuchnia, wino — i te pradziadowskie miody i dereniaki — a nadewszystko pradziadowska gościnność gospodarza, co tak wprost do serca idzie i na zawsze miłe po sobie wspomnienie zostawia! Pomimo licznych pudeł, wyborny był nastrój humorów, taki, jak już dawno nie pamiętam, bo to od samego rana i na polowaniu i przy objedzie koncepta się sypały, a toasty wnoszono wierszami. Więc i ja ten artykulik kończę wierszem:

Niechaj żyją Pohorylce!
I ja tam byłem,
Miód dereniak piłem,
Zwierza pudłowałem,
Władzia pokochałem.

Marceli Tyszkiewicz.

— W Baranowie, u p. Stanisława Dolańskiego, odbyły się polowania w dniach 27., 28. i 29. stycznia br. Rezultat był świetny i przeszedł wszelkie oczekiwania, w trzech tych dniach bowiem padło 43 rogaczy i 101 zajęcy. Ostatniego dnia tj. 29. zabito 26 rogaczy, a jeden z biorących udział w polowaniu, p. Stanisław Jędrzejowicz, drylingiem zrobił trypletę do rogaczy, dwa pierwsze śrótem, ostatni kulą.

Nadmienić muszę jeszcze, iż polowanie było dla nagonki ogromnie uciążliwe, tak, iż tylko pierwszego dnia zdołano wziąć siedem miotów, drugiego już tylko cztery a trzeciego pięć. Zazwyczaj obszar ten spolujemy w dwóch dniach; tego roku jednak, z powodu ogromnych śniegów, nie zdołaliśmy całego obszaru w 3 dniach spolować. Sarn dużo wracało na nagonkę; z rogaczy zabitych większa część dużych i grubych.

Opisując to polowanie wspomnę jeszcze, iż w tym samym rewirze jeden ze znanych naszych najlepszych myśliwych na podjeździe rano i wieczór zabił dziewięć rogaczy tego lata w jednym dniu.

Miło mi, że mnie przypadło w udziale opisać polowanie w Baranowie; a choć nie mam upoważnienia od wszystkich, którzy w polowaniu brali udział, to jednak pozwalam sobie w imieniu tych wszystkich, jeszcze raz podziękować szanownemu gospodarzowi za iście królewskie łowy.

S. T.

— W Bursztynie, własności hr. Olgi Borkowskiej, odbyło się polowanie 13. grudnia z. r. Ubito 7 kozłów, 2 lisy, i 13 zajęcy.

— W Czernicy, u p. Antoniego Kownackiego, polowano w sześć strzelb 21. grudnia grudnia z. r. i zabito 4 rogacze i 16 zajęcy. Z powodu bardzo głębokiego śniegu i górzystego położenia nagonka nie mogła chodzić. Powinno było polowanie lepiej wypaść, bo stan sarn jest tam bardzo ładny; lisa wcale nie było — zajęcy mało.

M. Tyszkiewicz.

— W rewirach Brodzkich, na polowaniach, odbytych w ubiegłym sezonie łowieckim pod zarządem p. Ignacego Frenkla, ubito dzików 10, rogaczy 10, zajęcy 83, lisów 13, słonek 3, kaczek parę set.

Podnieść tu należy, że prócz tych polowań panowie leśniczowie polują na własną rękę na potrzebę domową właścicieli, i tej zwierzyny nie podaję.

Delegat *M. Tyszkiewicz.*

— W Lataczu, u p. Wł. Krasnopolskiego, ubito w dniach 9. i 10. stycznia br. na polowaniu 70 zajęcy, 2 lisy i 7 kozłów. Dzików było wiele, ale pomimo strzałów, które do nich padały, uszły bez szwanku.

— W Ossowcach, u p. Aleksandra hr. Potockiego, polowano d. 12. stycznia br. w kniei 200-morgowej. Padło 3 kozły, 50 zajęcy i 3 jastrzębie. Podnieść tu należy, co może, choćby w krótkim czasie, dokazać staranne pielęgnowanie zwierzyny. Przed trzema laty wynikiem polowania w tej samej kniei było: 5 zajęcy i 3 lisy.

— W Torskiem, u p. Włodzimierza Siemiginowskiego, odbyło się polowanie w dniach 15. i 17. stycznia. Ubito na niem 130 zajęcy i 12 kozłów.

— W Drohiczówce, u p. Tadeusza Cieńskiego, wzięto trzy mioty w d. 16. stycznia i zabito 31 zajęcy i 3 kozły. Strzelano także do dużego odyńca, lecz ten uszedł nieuszkodzony, gdyż był strzelany tylko śrótem. *T. C.*

— W Szczepanowicach, u p. Stanisława Żaby, odbyło się d. 20. i 21. lutego polowanie, na którem ubito 7 dzików i 3 rogacze.

Z Królestwa Polskiego.

— W Poturzynie, w powiecie tomaszowskim w gub. lubelskiej, u p. Marcelego Wydżgi, odbyło się w lutym polowanie, na którem zabito 5 dzików, kozła, kilkanaście zajęcy i kilka lisów.

Polowano głównie na dziki, a nie obeszło się przytem bez wypadku, gdyż jeden z odyńców, zanim padł, zranił ciężko gajowego.

— W Wojsławicach, w pow. chełmskim, w lasach hr. Poletyłły, na polowaniu, na którem wśród licznych myśliwych znajdował się także znany podróżnik Stolzman, zabito 6 wilków, 8 dzików, 3 kozły, lisa i 22 zające.

KRONIKA.

W rewirach cesarskich: Gödöllö, Hodynin (Göding) Orth, Mattighofen, Mannersdorf, Leiben-Pöggstall i Weinzierl, dalej w kniejach Mürzzuschlag, Neuberg, Mürzsteg i Frein, ubito w ciągu r. 1890: 694 jeleni, 109 kozic, 864 sarn, 52 dzików, 28215 zajęcy, 9 zajęcy alpejskich, 19478 królików, 167 głuszców, 13 cietrzewi, 9160 bażantów, 4 amerykańskie indyki, 3 pardwy śnieżne, 13 jarząbków, 23900 kuropatw, 827 dzikich gęsi, kaczek, bekasów i przepiórek. Odyńca, niezwykle w cesarskich kniejach wielkiego, bo ważącego 120 kilogr., ubił cesarz d. 9. lutego w Gödöllö jednym strzałem na 70 do 80 kroków.

W rewirze gödölskim udaje się wybornie hodowla amerykańskich indyków, pantarek i bażantów królewskich.

Dropie pojawiły się w lutym na równinach Morawy, a mianowicie na zieleniejących się z pod śniegu polach rzepakowych. Urządzono na nie łowy, w których brał udział arcyksiążę Franciszek Ferdynand (przed swym wyjazdem do Petersburga). Wielki łowczy hr. Abensperg-Traun i bar. Schloissnigg. Dropie naganiano

ku stanowiskom myśliwych, które były w ziemi wykopane. Padło cztery sztuki, 2 ubił arcyksiążę a po jednej obaj jego towarzysze.

O pierwszych słonkach doniesiono nam już z kilku stron. D. 11. z. m. widziano je w Porsznie i Sołonce pod Lwowem; zwabiło je nagłe stajanie śniegów i niezwykłe ocieplenie się powietrza. D. 23 z. m. ubito trzy słonki w Bursztynie i widziano ich więcej na ciągu. Tegoż samego dnia ruszono także jednę słonkę w Olejowie. Śnieg, który spadł następnie, przyczynił się prawdopodobnie do powstrzymania ciągu.

Ochrona kuropatw. „Gazeta Radomska" w numerze z 25. lutego, podaje rozporządzenie gubernatora radomskiego, który ze względn na wyniszczanie zwierzyny, a mianowicie kuropatw, na mocy przysługującej mu władzy i §. 25 ustawy o polowaniu w Królestwie Polskiem, ustanawia raz na zawsze przepis, iż z chwilą spadnięcia pierwszych śniegów polowanie na kuropatwy zabronionem zostaje.

Wilki. W gminie Łoniów, w powiecie sandomierskim, jak donoszą *Wiekowi* warszawskiemu, pokazało się 7 wilków. Przyszły one prawdopodobnie z Galicyi, są niewielkie z tego gatunku, który lud nazywa „gęsiarzami". Właściciel majątku Trzebisławice, p. Antoni Czapczyński, zastrzelił jednego z tych szkodników, a przypadającą mu za zabicie wilka nagrodę przeznaczył na szpital sandomierski. Przed chatą gajowego, w lesie do tegoż p. Czapczyńskiego należącym, dwa psy, kundle, zostały zagryzione i pożarte przez wilki.

Walka z wilkami odbyła się w samem śródmieściu Chicago w Ameryce. Niejaki Muc Cune, właściciel strzelnicy, pozwolił na ustawienie w swym zakładzie klatki z czterma wilkami, stanowiącymi własność miejscowej trupy teatralnej. Pewnego wieczora dozorca wilków zapomniał zamknąć klatki, Mac Cune więc, wchodząc rano do strzelnicy, stanął oko w oko z czterma wilkami, rozjuszonymi, bo głodnymi okrutnie. Obawiając się, aby wilki nie dostały się do przyległego mieszkania, Cune zatrzasnął drzwi za sobą, chwycił fuzyę i kolbą zaczął stawiać opór wilkom. Straszliwa walka trwała przeszło pół godziny, Cune broczył już krwią z ran odniesionych, gdy na szczęście ktoś z przechodzących ulicą zajrzał przez okno do strzelnicy i pospieszył z pomocą. Czas już był wielki, gdyż Cune, zaledwie otworzono drzwi wchodowe, padł zemdlony.

W Borżomie, w zwierzyńcu, należącym do Kaukaskich dóbr W. księcia Michała Mikołajewicza, ubito w lutym wielką panterę, zdobycz w tych okolicach bardzo rzadką. Ubicie tego drapieżcy nie przedstawiało znacznych trudności, gdyż pantera pożarła widocznie część zatrutej padliny końskiej, która pod zwierzyńcem na drapieżne zwierzęta była położoną. Bezsilną już panterę dobiło dwóch dozorców zwierzyńcowych.

Wystawa myśliwska urządzoną będzie w tym roku w Petersburgu. Otwartą zostanie d. 27 maja i trwać będzie do 27 września.

Skunksy w Ameryce. Zwierzęta, dające futra, giną coraz więcej w Ameryce, wybijane przez wyłącznie w tym celu organizowane spółki strzeleckie. To też amerykanie zajęli się ochroną tępionych bez miłosierdzia zwierząt. Do drobniejszych, lecz więcej cenionych futer należą skunksy, trzymające środek pomiędzy niedźwiedziem a junatami. Czarne futerko tego zwierzęcia dochodzi do cen dosyć wysokich. W okolicach miasta Kolumbus, w stanie Ohio, niejaki Clark nabył około 300 młodych skunksów, których potomstwo hoduje się nieźle w parku prywatnym, otoczonym wysokiem ogrodzeniem. Skunksy porobiły sobie w parku gniazda i mnożą się szybko, gdyż samice rodzą od 8—10ciu młodych co roku. Clark karmi skunksy odpadkami mięsa, kartoflami i innymi jarzynami. Hodowla tych zwierząt nie jest bynajmniej kłopotliwa, a w stosunku do otrzymywanych korzyści kosztuje bardzo niewiele. Co najważniejsza, Clark postanowił drogą doboru naturalnego i krzyżowania zwierząt wybranych dojść do rasy skunksów o jednolitem zabarwieniu szerści, mianowicie czarnem jak węgiel. W zimie zabijane bywają sztuki wybrane, a skóry sprzedaje pomysłowy Clark w Nowym Jorku po dolarze sztuka, a czasami i drożej. Nawet słynne z nieznośnego odoru wydzieliny skunksów sprzedaje Clark rolnikom, którzy uważają je za doskonały nawóz. Na wiosnę skunksy zjadają masy gąsienic, szarańczy, koników polnych itp., czem oddają swemu właścicielowi znakomite usługi.

W paryskim „Jardin des plantes", skutkiem nadzwyczajnych mrozów, które tego roku zachodnią Europę nawiedziły, wyginęło dużo okazów zwierząt, pochodzących z cieplejszego klimatu. Doniósł o tem profesor Milne Edwards na jednem z ostatnich posiedzeń paryskiej Akademii umiejętności. Uległo mrozom wiele małp, wiele rzadkich ptaków, jak żórawie i marabuty, cztery zwyczajne antylopy, trzy zebry abisyńska, indyjska i afrykańska, słonie, lwy, tygrysy, nosorożce, hipopotamy, lamy, nawet pewne gatunki dzikich świń i jeleni. Zginął także australski lirogon, ptak, za którego zapłacono 1.000 franków. Ocalały jedne tylko antylopy bengalskie i wilki azyatyckie, które dobroczynna natura okryła ponownem cieplejszem futrem.

Budynki zwierzyńcowe, pochodzące jeszcze z początku b. stulecia i stojące daleko poza urządzeniami zwierzyńców późniejszych, okazały się niedostateczne, więc Milne Edwards domaga się, aby je przekształcono.

Poczta gołębia na morzu. Podczas ostatnich manewrów eskadry włoskiej na morzu Śródziemnem próbowano znosić się z lądem za pomocą gołębi, wziętych z Piacenzy. Chociaż gołębie miały wielką przestrzeń do przebycia, mała ich liczba została w drodze. Kilka gołębi z Ankony wzięto do Montechiaro dla wypróbowania ich także podczas manewrów; powróciły, zrobiwszy 190 mil. Ptaki te po powrocie do Ankony zostały posłane do Rzymu, skąd ponad Apeninami przybyły napowrót do gniazd, pomimo niesprzyjającej pogody, odbywszy 125 mil drogi przecięciowo w dziesięć godzin.

Wąż morski. Mamy zwyczaj śmiać się z „węża morskiego", tymczasem dzienniki francuzkie donoszą, że rybacy z Isigny złowili na wybrzeżu Bouzenville w dniu 9. lutego potwora morskiego, ruchami bardzo przypominającego węża, kształtem zaś zbliżonego do polipa. Cielsko potwora ma średnicy 6 metrów 25 cm. (przeszło 9 łokci) nie licząc sączków, grubość jego ku środkowi dochodzi 3 metrów 80 cm. (blisko 6 łokci). Zanim zdołano go wyciągnąć na ląd i zabić, porwał wszystkie sieci rybakom.

Zemsta konia. O strasznym wypadku zemsty konia dręczonego donoszą z Angers. Masztalerz, nazwiskiem Gouret, obchodził się w ogóle srogo z końmi. D. 14. z. m. Gouret zbliżył się do ogiera, który był bardzo niesforny, a zaledwo przy nim stanął, ukąsił go ogier w twarz tak silnie, iż cały policzek mu wyrwał. Nie dość na tem; ogier rzucił się teraz całą siłą na nienawistnego masztalerza i powaliwszy go na ziemię, począł go w rozjuszeniu deptać kopytami. Nadbiegli na pomoc inni stajenni zdołali uwolnić nieszczęśliwego Goureta i rozjuszone zwierzę poskromić, poczem pokąsanego i stratowanego masztalerza przeniesiono do infirmeryi i udzielono mu pomocy lekarskiej. Ból jednak niesłychany i przestrach tak podziałały na niego, że wpadł w obłąkanie.

Wyborna tresura. Brown, murzyn z menażeryi Reicha w Nowym Jorku, od paru miesięcy tresował młodego słonia, wabiącego się słodkiem imieniem Fanchon. Zwierzę było bardzo pojętne, na rozkaz też kornaka odkorkowywało butelki, otwierało szafy i t. p. Pewnego razu Brown, mając jakiś interes w mieście, nie zaszedł jak zazwyczaj rankiem do menażeryi. Stęskniony słoń wymknął się ze stajni i powędrował szukać swego pana do jego mieszkania, znajdującego się na drugiem piętrze w jednym z domów sąsiednich. Pojętny słoń dostał się na schody, wyłamał drzwi od mieszkania, gdzie zaczął szukać kornaka po wszystkich kątach, przyczem połamał meble, porozbijał szafy itp. Nie znalazłszy nikogo w mieszkaniu właściwem, słoń począł wyłamywać drzwi do mieszkań sąsiednich, które wypadkowo stały wówczas pustkami. Dopiero hałas sprowadził na górę przechodniów z ulicy, którzy wędrówkom zbyt pojętnego słonia położyli tamę.

„Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi". Doświadczył tego niedawno obywatel S. z pod Starego Klasztoru, w Królestwie. Stojąc w lesie na stanowisku, zapinał paltot, i przytem nieostrożnie ruszył odwiedzione kurki dubeltówki. Broń wypaliła i strzał... ubił rogacza, który właśnie w tej chwili wysunął się z zagajenia.

TREŚĆ: „Łowiec polski w Indyach". — Wł. Zaleski: „Polskie krosty". — Leon Gustaw Dziubiński: „Sylwetki łowieckie". — Marceli Tyszkiewicz: „Parę słów o kniei". — Wł. Spausta: „Nasze kaczki dzikie". — Korespondencye: „Poturzyckie łowy w r. 1891". — „Łowy jakich mało". — „W obronie chartów". — „Z notatek myśliwskich. Dzicza knieja". — „Daleki strzał". — „Przegląd myśliwskich stosunków". — „Sprawozdania łowieckie". — „Kronika".

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.